Nr. 141. Lwów — Sroda dnia 22 Czerwca. Rok 1904.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: | św. Paulina b. | Cyryla
Jutro: | św. Zenona, Wandy | Tymoteusza

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 4 m. 5
Zachód „ „ 7 m. 58

Długość dnia godzin 15 minut 53
Przybyło dnia od wczoraj 0 min.

Sprawy austryackie.

Piszą nam z Wiednia 19 czerwca:

Na próbę z sejmem prazkim można się zapatrywać jak kto woli: wedle Niemców ona się doskonale udała, natomiast Czesi widzą w niej klęskę. Kto spojrzy na nią ze stanowiska ściśle parlamentarnego, bez wnikania w powody, które udaremniły sesyę, ten przyzna, że ta próba była po prostu skandaliczna. Sejm po jednem plenarnem posiedzeniu musiał być zamknięty! Trudno o jaskrawszy dowód upadku parlamentaryzmu. W kołach niemieckich głośno mówią, że zupełnie taka sama próba będzie zrobiona we wrześniu z Radą państwa, mianowicie rząd zwoła ją i natychmiast jej przedstawi do finansowej uchwały przyjęty przez delegacye kredyt na zbrojność. Ta sprawa doskonale się nadaje do wypróbowania wartości Rady państwa. Kredyt na zbrojność już jest uchwalony przez jedyną instytucyę, uprawnioną do takich postanowień. Prawo odrzucenia tej uchwały nie przysługuje ani wiedeńskiej, ani peszteńskiej izbie. To dla nich tylko poruczony zakres działania. Muszą spełnić swą powinność, bez oglądania się na to, czy rząd, który przedstawi tę sprawę, jest sympatyczny, czy nie jest. To nie jego sprawa; jeżeli izba nie sfinansuje kredytu, da wotum nieufności nie gabinetowi dra Koerbera, ale swoim własnym delegatom. Nadto złoży dowód, że w narodowościowem zacietrzewieniu zatraciła poczucie interesów monarchii. Z tego właśnie powodu dr. Koerber nie mógł ani przez chwilę myśleć o załatwieniu tej sprawy za pomocą § 14-go, — chyba, że dobrowolnie chciałby się pozbyć sposobności do wykazania, że nie jego osoba i nie jego rząd, ale sama izba w swym teraźniejszym składzie przy każdym zgoła rządzie zawadza prawidłowemu biegowi interesów. Czesi ogłaszają dra Koerbera jako swego wroga; otóż jeżeli on jest ich wrogiem, to właśnie dlatego powinien był odrazu postanowić, że sprawa sfinansowania kredytu na zbrojność będzie przedstawiona Radzie państwa: niech się w niej Czesi skompromitują. Otóż teraz głoszą w kołach niemieckich, że ta próba z Radą państwa — próba tak krótka, jak z sejmem prazkim — odbędzie się we wrześniu. Da ona przewidywany rezultat: obstrukcya czeska udaremni sfinansowanie kredytu na zbrojność, poczem już się przedstawi nieodwołalna konieczność niezwłocznego rozwiązania izby i rozpisania wyborów, aby nowa Rada państwa jeszcze w tym roku mogła załatwić finansową stronę uchwały delegacyjnej.

Sytuacya w Czechach czyni możliwemi takie przypuszczalne zamiary rządu; powtarzam: przypuszczalne, bo dr. Koerber nie wypowiada swych myśli. Ludność wiejska w Czechach liczyła na to, że sejm uchwali dla niej zasiłki na pokrycie ogromnych strat, spowodowanych powodzią; wyglądała ona tego zasiłku jak zbawienia. Właśnie dlatego młodoczesi domagali się zwołania sejmu. Teraz więc ludność wiejska przeciw nim się zwraca; potępia ich obstrukcyę i całą ich polityczną mądrość, a agraryusze jeżdżą po wioskach i wzywają chłopów, aby rozważyli, co się ziściło z młodoczeskich przyrzeczeń? Ustawicznie, z miesiąca na miesiąc, zapowiadali, że dr. Koerber albo skapituluje przed nimi, albo ustąpi. Z początku miało to się stać przy sposobności ugody z Węgrami, potem z powodu traktatów handlowych, a jeszcze potem z powodu kredytu na zbrojność. Nic się nie ziściło, tylko zbankrutowała obstrukcya. Ta agrarna agitacya jest dla młodoczechów tem przykrzejsza, że i szlachta feudalna ma już dość obstrukcyi. Młodoczechom pozostaje szukać porozumienia z Niemcami i jak najrychlej nawiązać z nimi rokowania, aby mogli w Radzie państwa głosować za parlamentarnem załatwieniem kredytu na zbrojność, albo też muszą się przygotować na oddanie berła agraryuszom.

Na nieszczęście wszechniemcy zaczęli po swojemu bruździć, bo tym sykofantom chodzi o to, aby pod żadnym warunkiem nie przyszło do narodowościowej zgody. Podnieśli więc następujące żądania: Czesi bezwarunkowo zaniechają obstrukcyi w Radzie państwa; wszystkie wakujące posady urzędnicze w Czechach będą obsadzane w $^3/_4$-ych przez Niemców, a w $^1/_4$-ej przez Czechów i tak powinno być dopóty, dopóki liczba urzędników czeskich nie zrówna się z liczbą urzędników niemieckich; na wyższe stanowiska w służbie krajowej powołani będą odrazu w znacznej liczbie Niemcy, a ci Czesi, którzy teraz zajmują te stanowiska, pójdą na emeryturę; Niemcom przyznane będzie w Wydziale krajowym, w krajowych instytucyach i komisyach sejmowych tyle miejsc z wyborów, ile wypada wedle liczby ludności niemieckiej w Czechach i wielkości, opłacanego przez nich podatku. Otóż łatwo przewidzieć, że na takie żądania nie zgodzi się żadne czeskie stronnictwo, bo to byłoby znacznem uszczupleniem stanu posiadania. Naprzykład, w czeskim wydziale krajowym zasiada tylko dwóch Niemców, a między urzędnikami prawie zupełnie ich nie ma. Zatem wszechniemcy po prostu starają się przeszkodzić ugodzie.

Zważywszy to wszystko, trzeba przyznać, że Czesi za długo wojowali obstrukcyą, bo przez nią wpędzili siebie w położenie bez wyjścia.

Spór o tytuł nauczycielski.

Wytrawność wodzów japońskich, a dzielność żołnierzy tak imponuje Anglikom i Niemcom, że pisma obu tych narodów zaczęły coraz namiętniej sprzeczać się ze sobą, kto Japończyków tak świetnie wykształcił? Anglicy utrzymują, że oczywiście oni, albowiem nietylko ich język jest przedmiotem obowiązkowej nauki w japońskich szkołach i nietylko każdy wykształcony Japończyk uzupełnia swe studya w Anglii, gdzie się całkowicie przejmuje angielską logiką, ścisłością i dokładnością w robocie, ale nadto manewrowanie jenerała Kurokiego nad Jalem, a jenerała Oku pod Kinczu niezbicie dowodzi, że ci jenerałowie dokładnie przestudyowali taktykę Wellingtona, który oczywiście był genialniejszy nawet od Napoleona I, skoro pobił go pod Waterloo. Z tego wynika, że właściwie nie Japonia, ale geniusz angielski zwycięża Rosyan w Mandżuryi. Takie odkrycie ogromnie pochlebia Anglikom, zwłaszcza po przykrych wspomnieniach wojny boerskiej.

Lecz Niemcy upomnieli się o prawo nauczyciela Japonii. Najpierw uczenie wykazali oni Anglikom, że Wellington był sobie dość pospolitem zerem, a pod Waterloo nie on pobił Napoleona, lecz pruski jenerał Blücher. Następnie z politowaniem zawołali, że źle byłoby z Japończykami, gdyby ich jenerałowie naśladowali angielskich wodzów z wojny boerskiej. A w końcu zadecydowali, że „der berühmte“ Moltke był mistrzem Japończyków. Wszystko, co oni robią, to tak, jakby robił dobry uczeń Moltkego, — nie jak mistrz, ale jak uczeń.

Ten międzynarodowy spór przybrał stanowczo za wielkie rozmiary. Od początku był zabawny, w końcu stał się śmieszny. Zacietrzewieni Niemcy udali się listownie do szefa japońskiego sztabu głównego jen. Kodama z zapytaniem, kogo on uważa za militarnych nauczycieli Japończyków? Kodama odpisał z wykwintną grzecznością, że takiej kwestyi nawet być nie może, gdyż uważa on za swego mistrza pruskiego jenerała v. Meckla, który był profesorem w japońskiej akademii wojskowej i jakiś czas instruktorem. Do samego Meckla wystosował Kodama telegram z wyrazami wdzięczności i szacunku.

Niemcy zatryumfowali, Anglicy zaś byli tak skwaszeni, że ambasador japoński w Londynie baron Suematsu uznał za konieczne przyznać także im wielkie zasługi w dziele militarnego wykształcenia Japończyków. W liście do londyńskich dzienników powiada on, że „jenerał Kodama niezaprzeczenie ma zupełną słuszność, jeżeli słuszną rzeczą jest być wdzięcznym. Jenerał v. Meckel kształcił oficerów, którzy teraz pracują w sztabie Kodamy i sam Kodama słuchał wykładów Meckla. Cóż dziwnego, że szlachetny uczeń pamięta o szlachetnym mistrzu i część swych wawrzynów jemu posyła!“ Dalej zaś p. Suematsu tak pisze: „We wszystkich jednak urządzeniach państwowych, w całej organizacyi armii i floty, zwłaszcza zaś floty, na każdym kroku znaleźć można silny wpływ angielskich wzorów. Rzeczywiście też my, Japończycy, z wdzięcznością przyznajemy się, że bardzo wiele zawdzięczamy Anglii, a jesteśmy dumni, iż trafnieśmy ocenili jej wysoką cywilizacyę i żeśmy potrafili przyswoić ją sobie“.

A więc Anglicy i Niemcy równo się zasłużyli państwu Wschodzącego Słońca; mogą się pogodzić, a jednak ciągle jeszcze dogryzają sobie. Spór ten jest ciekawy jako dowód, że Japończycy swem prowadzeniem wojny sprawiają w Europie nadzwyczajne wrażenie. Zdaje się jednak, że mała w tem zasługa europejskich nauczycieli. Takiego patryotyzmu, jaki okazują Japończycy, takiej ofiarności i poświęcenia, takiego lekceważenia życia, gdy je trzeba złożyć na ołtarzu ojczyzny, nikt w teraźniejszej Europie nie mógł Japończyków nauczyć. To raczej oni przypomnieli Europie, że kiedyś i w niej bywały takie cnoty, — przypomnieli jej, co ona straciła, dawszy przewagę państwowości nad społecznością, a szowinizmem zastąpiwszy prawą miłość ojczyzny.

„Surowica“.

„Behring i Roux wynaleźli środek przeciw dyfterytowi, t. zw. surowicę...“ „Profesor Tizzoni opisał w *Riforma medica* szereg przypadków tężca, wyleczonych za pomocą surowicy przeciwtężcowej...“ „Na klinikach wiedeńskich otrzymano znakomite wyniki z surowicą przeciwszkarlatynową Moser'a...“ „Marmorek wygłosił w Akademii medycznej paryskiej odczyt o ulepszonej przez się surowicy przeciwtuberkulicznej, która ma wywierać zdumiewające działanie...“

Tak lub podobnie brzmiące wiadomości wyczytuje publiczność nasza raz po raz w pismach codziennych mniej więcej od lat dziesięciu i wyraz „surowica“ przestał być dla niej obcy. Niektórzy z pośród nielekarzy znają nawet surowicę z bliższego doświadczenia, widzieli ją nietylko w charakterystycznych buteleczkach, ale widzieli także jej pomyślne, nieraz wprost zbawienne działanie u własnych dzieci, krewnych czy znajomych.

Cóż to jest ta surowica? Przedewszystkiem, szanowny czytelniku, surowica to jest jeden z wielkich, a jeszcze nielicznych tryumfów medycyny, jako prawdziwej nauki — jest to bowiem płód, nabyty nie drogą przypadku, trafu, jak to dawniej zwykle bywało w lecznictwie, ale drogą świadomego, logicznego myślenia i poszukiwania. Powtóre „surowica“ jest to *standard word* terapii (nauki o leczeniu) współczesnej, jej najenergiczniejszych i najpopularniejszych dążeń. Setki umysłów i rąk zajęte są pracą nad surowicami: wytworzono już surowice przeciw wielu chorobom zakaźnym, udoskonala się je lub poszukuje przeciw pozostałym — ba, nawet takie stany chorobowe jak morfinizm, alkoholizm także niektórzy próbują leczyć odpowiedniemi surowicami.

Zasada i sposób otrzymywania surowic są dość prosto. Wielu czytelników wie już zapewne, że istota działania bakteryi (drobnoustrojów), jako przyczyny chorób zakaźnych, polega na wytworzeniu w ustroju ludzkim trucizn (t. zw. toksyn), w różnym stopniu szkodliwych dla organizmu, stosownie do gatunku mikrobów. Choroby takie, jak dyfteryt, tyfus, szkarlatyna, róża itd. itd., są tym sposobem w swej istocie zatruciami, i wiele objawów tych chorób (np. gorączkę) uważamy za skutek bezpośredni trucizn bakteryjnych. Ale ustrój nie jest bynajmniej biernem narzędziem; gdy tylko bakterye zaczną swą zgubną działalność, stara się on natychmiast zniszczyć je przy pomocy białych ciałek krwi (t. z. fagocytoza), z drugiej zaś strony zaczyna natychmiast wytwarzać *antidotum* — odtrutkę, czyli t. zw. antytoksyny, które zobojętniają lub osłabiają działanie trucizn bakteryjnych. Pomyślne zakończenie dyfterytu, tyfusu, czy szkarlatyny, czy innej choroby zakaźnej, zależy, jeśli nie w całości, to przeważnie od tego, czy organizm wytworzy dostateczną ilość antytoksyny. Człowiek umiera na te choroby tylko dlatego, że w jego ciele była zbyt duża ilość trucizn bakteryjnych, wobec zbyt małej ilości przeciwtrutki, wytwarzanej przez organizm.

Skoro tylko poznano fakty powyższe, natychmiast zrodziła się myśl ich zastosowania praktycznego wedle nakazu ojca medycyny Hippokratesa: „starajmy się leczyć chorobę tak, jak ją leczy sama natura, dopomagajmy naturze wedle jej własnych sposobów w tych wypadkach, gdzie sama ona nie może sobie dać rady“. A więc jeśli śmierć z dyfteryi czy szkarlatynie zależy zasadniczo od zbyt słabego wyrabiania odpowiedniego *antidotum*, wprowadzajmy sami to *antidotum* do organizmu.

Jakże zdobyć to *antidotum*? Najprostsza myśl — brać je od osób, które świeżo szczęśliwie przebyły tę samą chorobę zakaźną; istotnie antytoksyna znajduje się przez czas krótszy lub dłuższy (stosownie do rodzaju choroby) we krwi i sokach ozdrowieńców. Ale któż znowu „z własnej i nieprzymuszonej woli“ zechce dawać krew swoją dla leczenia obcych chorych, gdzie szukać i jak znaleźć dostateczną liczbę amatorów tego rodzaju — by ich starczyło choć dla części istniejących w danej chwili chorych tyfusowych, czy szkarlatynowych i t. p. jak, nareszcie zabezpieczyć się stanowczo i niezawodnie, by (jak to się zdarzało przy szczepieniu ospy z osoby na osobę) nie zaszczepić razem z krwią jakiej innej ukrytej choroby?

Skoro więc nie można było brać antytoksyny od ludzi świeżo wyleczonych z jakiejś zaraźliwej choroby, poczęto ją brać od zwierząt. W tym celu wprowadza się zwierzętom do organizmu pod skórę lub do żyły z początku bardzo małe, nieszkodliwe, później w odstępach parodniowych lub kilkudniowych coraz większe ilości bakteryi, odpowiednio osłabionych. Organizm zwierzęcia stopniowo przyzwyczaja się do coraz większych dawek bakteryj, właśnie dzięki wytwarzaniu się antytoksyny: po kilku miesiącach zwierzę zaczyna bezkarnie znosić takie ilości bakteryj, które wystarczyłyby do zabicia tuzina zwierząt normalnych. Odpowiednio nagromadza się coraz większa ilość antytoksyny w sokach tego zwierzęcia; będzie jej tem więcej, im dłużej, jak się mówi technicznie „uodporniamy“ zwierzę. Ponieważ, naturalnie, chodzi zawsze o pozyskanie możebnie dużej ilości antytoksyny, „uodpornianie“ prowadzi się możebnie długo, całe miesiące, całe lata, przytem na dużych zwierzętach (zwykle na koniach); po tym czasie czyni się upust krwi z żyły zwierzęcia. Krew, krzepnąc, wydziela z siebie płyn lepki, zwykle przeźroczysty, słabo zabarwiony. Jest to właśnie pożądana „surowica“, zawierająca przeciwtrutkę i używana do leczenia chorych ludzi.

Własności surowicy wypróbowano przedewszystkiem w doświadczeniach na zwierzętach: królikach, morskich świnkach, psach — a potem na ludziach, i po tysiąc razy stwierdzono niezawodnie, że surowica nietylko leczy, często wprost „przecina“ chorobę osoby zarażonej dyfterytem, bakteryami dżumy, zapalenia płuc itd., ale że wprowadzenie surowicy do organizmu osoby zdrowej zabezpiecza ją od zarażenia się tą chorobą. Są to fakty, nie ulegające już najmniejszej wątpliwości.

Pierwszą surowicą, jaką do ludzi stosowano, była antidyfteryczna. Spreparował ją w sposób powyżej opisany, profesor Behring. Ona więc otworzyła „erę surowic“ w historyi terapii nowoczesnej. Surowica ta była nietylko pierwszem, ale pozostaje dotychczas jedynem prawdziwem lekarstwem przeciw dyfteryi; wszelkie poprzednio używane płukania i pędzlowania gardła, środki wewnętrzne i t. d., były tylko zwykłemi palliatywami, nie zmniejszającemi zupełnie, albo zmniejszającemi tylko nader mało grozę tej niebezpiecznej choroby. Tymczasem surowica antydyfteryczna zmniejsza znacznie liczbę zgonów z dyfterytu, jak to wykazały daty statystyczne; zmniejsza ona i grozę krupu, który jest dyfterytem krtani, a który poprzednio tak często wymagał przecięcia gardła (tracheotomii). Obecnie operacya ta stała się u chirurgów niemal rzadkością.

Powodzenie, zyskane z surowicą przeciwdyfteryczną zachęciło do wyrobu surowicy przeciw dżumie, tyfusowi, gorączce połogowej, zapaleniu płuc i t. d. Co do wartości wszystkich tych surowic, zdania są podzielone, nawet nie sposób jeszcze dać stanowczej odpowiedzi. Nieźle, zdaje się, zapowiada się sprawa

---

1)

Polityczne powieści.

W literaturze niemieckiej polityka stała się modną. Wbrew surowym przepisom estetyki, która potępia zbytnie podkreślanie tendencyi w dziełach poetyckich, występują raz po raz autorzy niemieccy z utworami, których jedynym celem jest spopularyzowanie pewnej myśli politycznej, i przynajmniej chwilowo zwyciężają pod względem poczytności znacznie od nich wyższych talentem właściwych twórców literackich. Widocznie udało się im trafić w strunę, współdrgającą w wielkich masach ludności niemieckiej, chociaż być może, że uczynili to bardziej w duchu publicystycznym, niż artystycznym.

Dwie zwłaszcza kwestye w obecnem cesarstwie niemieckiem zawsze budzą żywy oddźwięk w szerokich kołach czytającej publiczności: wygórowany militaryzm i walka rasowa z polskością — a więc owe dwie zmory, któremi obdarzyła Niemców przewaga wśród nich prusactwa. Otóż w ostatnim czasie zyskały poklask dwie powieści, które temi właśnie kwestyami się zajmują.

Pierwsza z nich, powieść „Jena czy Sedan?“ Franciszka Beyerleina, nieznanego przedtem autora, zyskała bajeczne wprost powodzenie. Wyszło jej już przeszło 80 edycyi, każda po 1000 egzemplarzy, a autor zyskał sławę nietylko w swej ojczyźnie, ale daleko po za jej granicami: we Francyi, Włoszech, Anglii i Stanach Zjednoczonych.

Niedawno też wywołał sensacyę jego dramat „Capstrzyk“, będący przeróbką z powieści „Jena czy Sedan“. W Niemczech oficerom zabroniono uczęszczać na przedstawienia tej sztuki.

Tłem, na którem Beyerlein osnuł powieść swoją, jest życie wojskowe, ale nie w jakimś zapadłym kącie, nie „w małym garnizonie“, jak u Bilsego, znanego autora powieści „*Aus einer kleinen Garnison*“, lecz ogólno-niemieckie. Autor pozwala się nam domyślać, że rzecz rozgrywa się w jednem z księstewek państwa niemieckiego, wyraźnie tego jednak nie dopowiada, a natomiast wykazuje zależność od metropolii Niemiec — Berlina. Bohaterami powieści są w pierwszej linii dwaj ludzie, zupełnie różni wykształceniem, wychowaniem, oddzieleni od siebie niedającą się usunąć baryerą stosunków towarzyskich: porucznik Reimers i prosty żołnierz Vogt. I jeden i drugi z ochotą wdziewali na siebie mundur, służbę pełnili gorliwie, wierząc w to, iż z trudów ich kraj cały będzie miał pożytek, obaj jednak zgorzknieli wkrótce i przekonali się, że tego rodzaju stosunki, jakie panują w armii niemieckiej, wszystko inne zdolne są obudzić w duszy prawego człowieka, jeno nie umiłowanie zawodu wojskowego.

Porucznika zaczyna nudzić bezczynność, pod wpływem też rad przyjaciela bierze urlop i śpieszy do szeregów walczących o wolność Boerów. Żołnierza znów męczą stosunki z kolegami, oburza go niesprawiedliwość ze strony naczelników - podoficerów, siłą też powstrzymuje rozgoryczenie swoje, nie chcąc ojcu, staremu wojakowi, przysporzyć zmartwienia. Ale w końcu niezdolny już jest zapanować nad sobą, wykracza przeciw dyscyplinie i dopiero po odsiedzeniu ciężkiego więzienia, z radością zrzuca mundur, do którego rwał się od lat najmłodszych.

Około Reimersa zgrupował Beyerlein całą sferę oficerów, około Vogta całą falangę żołnierzy, kaprali, podoficerów, sierżantów i wachmistrzów. Ten podział posłużył autorowi do wyprowadzenia znamiennego wniosku, że ta dolna warstwa daleko jest zdrowsza, jędrniejsza, bardziej obywatelska i głębiej czująca aniżeli warstwa górna, uprzywilejowana. I właśnie tę dolną warstwę już nietylko utrzymać w tym stanie, w jakim się znajduje, ale ją jeszcze udoskonalić, powinno być zadaniem zwierzchności. Z tego jednak wyjątki tylko zdają sobie sprawę. Ogół oficerów prusko-niemieckich umie się tylko „bawić w żołnierzy“, ale ducha rycerskiego posiada w sobie niezmiernie mało. „Tylko żołnierz, który dokładnie wie, dlaczego się bije, może być dzielnym wśród walki“ — powiada autor. Pijaństwo, rozwiązłość, karciarstwo, życie wygodne i nad stan rozpanoszyły się wśród oficerów niemieckich. Karyery wojskowej prawie nikt nie obiera już sobie w tym celu, ażeby piersią swoją zasłaniać ojczyznę i wszystkie siły, wszystkie zdolności, całą wiedzę poświęcić dla wspólnego dobra, ale dlatego, że odznaki oficerskie dają wstęp do najwyższych towarzystw i są bardzo miłą dekoracyą.

A ta warstwa dolna odczuwa, w miarę wzmagania się oświaty, upośledzenie swoje i widzi błędy zwierzchników, drwi z nich po cichu jeszcze w czasie trwania służby, drwi zaś głośno po dopełnieniu powinności wojskowej. Młodzież niemiecka służy, bo musi, gdyby jednak pozostawiono jej swobodę, szeregi spadłyby do *minimum*. Najprostszy kanonier chce dziś żyć możliwie najwygodniej i z niechęcią spełnia musztrę, odbywa ćwiczenia. „Dlaczegóż miałoby być inaczej? — zapytuje autor — przecież przykład idzie z góry“.

Wszystko to domaga się przekształcenia gruntownego, gdy tymczasem po dawnemu odbywa się w wojsku mechaniczna tresura, umęczanie prostych żołnierzy w nie lepszym gatunku, niż to było onego czasu przed bitwą pod Jeną.

Jena — to bardzo czarny punkt w historyi Niemiec i z tego haniebnego pogromu powinna, zdaniem autora, płynąć nauka dla hołdowników obecnego militaryzmu pruskiego. Pobitą tu została armia świetnie wyćwiczona, na paradach wszelkich budząca zachwyt, na czele jej zaś stał wódz uznany i wielki zwycięzca, książę Brunszwiku.

Czemże byli ci, którzy w puch i proch rozbili tę armię? Oto zbieranina z całego świata ludzi „o pustych żołądkach, pustych może nawet głowach, ale o wielkich sercach“. Książę Brunszwiku nie popełnił ani jednego błędu, wykonał wszystko wzorowo, jak go wyuczono w dyscyplinie wojskowej. Generałowie zaś francuscy popełniali błąd za błędem, sam wódz naczelny działał więcej pod wpływem fantazyi, niż wskutek wyrachowania zimnego — i pomimo to pozostał panem na placu boju. Ale ten wódz rozporządzał zastępami, które wiedziały i zdawały sobie sprawę, dlaczego narażają się na śmierć, owionął je wietrzyk swobody, w pobudce do ataku dźwięczała nuta wielkiej pieśni odrodzenia. „A nasze wojska“? — zapytuje autor przez usta jednego z bohaterów i daje odpowiedź gorzką: „Myszliśmy na bój, jak kołki, symetrycznie ustawione, bo tak przyzwyczajono nas na wszelkich paradach wojskowych“.

„Czy dziś jest inaczej“? — pyta dalej i znów odpowiedź brzmi smutniej jeszcze. „Dziś jest gorzej. Efekta teatralne zapanowały nad jądrem prawdziwej sztuki wojskowej. Podczas manewrów wykonywane są najrozmaitsze ewolucye brawurowe, ale one nie stanowią istoty rzeczy, zwłaszcza, że w ślad za tą sztuczną musztrą idzie zniewieściałość, a wszakże zniewieściałość to zawiodła w r. 1871 Francyę do pogromu pod Sedanem. „Jakże inaczej — woła rezoner Günter — wyglądał ów kielich z ułamaną nóżką, z którego cesarz Wilhelm pił wstrętnym cienkoszem za zdrowie zwycięzców z pod Saint-Privat, od tej porcelany, w którą zaopatrywali się oficerowie niemieccy, dążący na bezkrwawą przechadzkę do Chin! Gdyby też musieli byli uczynić odwrót, to mieliby ten sam trud, jaki przypadł w udziale huzarom heskim, unoszącym namiot Mac-Mahona ze wszystkiemi kosmetykami, poduszeczkami, puchami itd. Może tylko nie eskortowaliby kobiet z półświatka, chociaż i to byłoby możliwe“.

Niemcy zwyciężyły Francyę i zgotowały jej Sedan, ale stało się to dlatego, że po dniach pełnych sławy, armia gnuśniała we Francyi, w Niemczech zaś przeszła kampanię duńską i austryacką. Równocześnie pracowano nad oświatą. Ta oświata sprawiła, że naród niemiecki wprawdzie nie życzył sobie wojny, ale kiedy walczyć mu kazano, to walczył, mając cel jasno wytknięty przed sobą.... Chciał i musiał zwyciężyć, ażeby następnie w pełni używać spokoju. Nad Francyą rozbawioną, urządzającą sobie życie wygodne, pełne rozpusty, zapanowali ludzie, żyjący skromnie, silni, zdrowi na ciele i na duchu.

A obecnie, co czeka armię niemiecką? Czy nowe zwycięstwo, podobne do Sedanu, czy nowy pogrom, podobny do Jeny?

„Los narodów bywa zmienny — rozumuje przed śmiercią bohater powieści Reimers — a w dziejach narodu niemieckiego pełno jest sprzeczności. Umiemy myśleć wzniośle, a równocześnie jesteśmy drobiazgowi, umiemy być dumni i pyszni, a z drugiej strony jesteśmy pozbawieni uczucia godności własnej, czasami posiadamy siłę olbrzymów, a czasami słabość dzieci; wiemy, że cały świat nas nienawidzi, a jednak nie potrafimy działać w imię jedności“.

Reimers zadumał się i oczyma duszy widział waleczne szeregi, roszące krwią ziemię pod Woerth, pod Beaumont, pod Gravelotte i St. Privat, widział wejście do Paryża, koronacyę w Wersalu... A potem obraz ten zaszedł chmurą, czarną, jak piekło — przed oczyma jego stanęła... Jena. Reimers przyłożył lufę rewolweru do skroni, rozległ się strzał i złamany życiowo porucznik, kochający szczerze swój kraj i swego monarchę, padł martwy.

Taka jest myśl przewodnia książki, która w Niemczech u jednych wywołała zachwyt, drugich pobudziła do smutnych refleksyj, innych wreszcie oburzyła do najwyższego stopnia.

Zasługą Beyerleina, jako pisarza, jest to, że nie narzuca on natarczywie swojego przekonania czytelnikowi. Czasami tylko wybuchają tendencye silniejszym blaskiem, po za tem jednak tok powieści jest równy, a miara prawie zawsze utrzymana.

Nie byłby jednak nawet tak wybitny pisarz, jak Beyerlein, Niemcem tegoczesnym, gdyby nie wprowadził do powieści swej Polaka i nie starał się go ośmieszyć. O tyle jednak autor był sprawiedliwy, że swojemu „Inosławskiemu“ przyznał hart duszy i umiejętność znoszenia szykan przeróżnych.

Oprócz Polaka dużą rolę w powieści gra Czeszka. Ta znów jest rozpustnicą ostatniej próby.

Nienawiść do wszystkiego, co trąci Słowiańszczyzną, musiał przecież wylać autor. Może sądził, że tym sposobem powieść jego stanie się jeszcze bardziej aktualną?...

(Dokończenie nastąpi).

z surowicą przeciwszkarlatynową, wprowadzoną przez lekarza wiedeńskiego Mosera, a o ile doświadczenie wykazuje, surowica ta zdolna jest conajmniej osłabiać i łagodzić tę często tak straszną chorobę, przeciw której dotychczas tak samo, jak przeciw ogółowi chorób zakaźnych, nie było żadnego prawdziwego lekarstwa. Dalej wielu lekarzy, pracujących w Indyach, przekonanych jest o pożyteczności surowicy przeciwdżumowej w licznych wypadkach tej choroby; uprzednie jej wstrzykiwanie w celu ochrony od zapadnięcia na tę chorobę ludzi przebywających w ogniskach dżumy ma jednak być daleko mniej skuteczne, niż uprzednie szczepienia samych zarazków dżumy, odpowiednio osłabionych. Ale już co do surowicy przeciwtyfusowej, przeciwtężcowej i przeciw gorączce połogowej wyniki są daleko mniej przekonywające, daleko mniej wyraźne i wybitne, niż widuje się je w doświadczeniach laboratoryjnych nad zwierzętami.

Przedewszystkiem, żeby posiadać skuteczną surowicę przeciw pewnej chorobie zakaźnej, należy najpierw znać dobrze i mieć w rękach gatunek bakteryi, wywołujący tę chorobę. Otóż co do dość licznych chorób gorączkowych, czy wysypkowych nie ma w tym względzie wiadomości, albo nie ma pewności; wobec tego też surowica przeciwszkarlatynowa, oddawna bardzo pożądana, zjawiła się dopiero niedawno, ponieważ nie było z czego jej robić — nie było pewności, jaki rodzaj bakteryi, z pośród spotykanych w tej chorobie, należy uważać za przyczynę specyficzną tej choroby. Istnieje surowica przeciwtyfusowa, ale istnieje także tak dużo niepewności co do istotnego znaczenia drobnoustrojów, zwanych obecnie laseczníkami tyfusowymi, że i skuteczność ich surowicy jest już naprzód problematyczna.

Po drugie — choć zatrucie toksynami bakteryjnemi uznajemy w chorobach gorączkowych za szkodliwość podstawową, ale jednocześnie uważamy i widzimy, że nie jest to szkodliwość jedyna. Niebezpieczeństwo dla życia w chorobach zakaźnych może zjawić się i z tego powodu, że zatrucie bakteryjne sprowadza zmiany poważne w narządach, t. zw. zmiany anatomiczne. Istotnie np. jad dyfteryczny łatwo i szybko może sprowadzać zmiany w sercu, a szkarlatynowy — w nerkach. Wprowadzona surowica neutralizuje truciznę bakteryjną, ale nie jest zdolna wyprostować tego w narządach, co ta trucizna popsuła. Wobec takiego stanu rzeczy radzą zawsze stosować surowicę przeciwdyfteryczną, dżumową, czy inną możebnie wcześnie — właśnie, by nie dopuścić do zmian narządów. Istotnie i statystyka porównawcza dowodzi, iż przy wczesnem leczeniu dyfterytu surowicą szanse wyleczenia są większe, niż przy późnem.

Po trzecie — istnieje dużo wskazówek, nawet dowodów tego, że choroby zakaźne u ludzi wielokrotnie nie są rzeczą tak prostą, jak naukowe doświadczenia z zakażaniem zwierząt, gdzie wprowadza się do ustroju pewien jeden, określony rodzaj bakteryi (t. zw. „czyste hodowle"). U ludzi natomiast, nieraz obok gatunku „podstawowego" współobecne są i współuczestniczą w rozwoju choroby i gatunki inne (t. zw. „zakażenie mieszane"); stosując więc w takich wypadkach pewną surowicę, przeciwdziałamy tylko jednemu gatunkowi bakteryi, a pozostawiamy nienaruszonemi inne. Możnaby, zapewne wprowadzać odrazu kilka różnych gatunków surowic, gdyby istniała możność szybkiego i niezawodnego określenia, czy przypadek choroby, jaki mamy przed sobą, jest w danej chwili „czystym", czy też „mieszanym", co przeważa, a co odgrywa rolę drugorzędną itd.

Takiem „zakażeniem mieszanem" bywa — wedle pojęć współczesnych — szczególnie często gruźlica płucna w późniejszych okresach choroby: wtedy nieraz znaczną więcej bakteryi ropienia (t. zw. streptokokki) niż laseczníki gruźlicze. To też już profesor włoski Maragliano pierwszy wprowadził w leczeniu z tuberkuliną Kocha, na szeroką skalę przedsiębrał próby i spostrzeżenia z przygotowaną przez siebie surowicą przeciwgruźliczą, spodziewał się od niej pomyślnego działania przeważnie w pierwszych okresach gruźlicy płucnej, kiedy jeszcze niema zakażenia innemi drobnoustrojami.

Takie oto są okoliczności, utrudniające lub nawet uniemożliwiające działanie pomyślne surowic u chorych ludzi. Chodzi naszcze jeszcze o jedno — o trudność wyrażania skuteczności surowicy w pewnych przypadkach choroby, szczególnie jeśli surowica jest słabą. Gdy mamy do czynienia z chorobami, trwającemi tylko kilka dni czy tygodni, jak dyfteryt, szkarlatyna, wreszcie tyfus, trudności tej nie ma. Zupełnie inna sprawa z takiemi chorobami, jak gruźlica płucna, która bywa tak często chorobą długotrwałą, wieloletnią, tak często, nawet wśród złych warunków życiowych, wykazuje skłonność do samoistnych, nawet znacznych poprawek: w tych razach zdecydowanie, czy surowica przeciwtuberkuliczna wywiera istotny wpływ leczniczy, wymaga nietylko nadto licznych porównawczych spostrzeżeń, lecz także zależy i od zasadniczo uważnego badania, podobnie jak lat całych potrzeba było Jennerowi na udowodnienie wpływu ochronnego szczepienia ospy. Prędzej może być decyzya przy przypadkach gruźlicy ograniczonej (kostnej); ale i w tych razach dopiero jasne nadzwyczajne wyniki lecznicze, dotychczas niespotykane, pozwoliłyby na szybką odpowiedź.

Co i o czem piszą.

Wiedeński dziennik *Zeit* poruszył sprawę, omawianą już i przez nas kilkakrotnie, mianowicie sprawę notaryatu, któremu w Austryi formalnie zaczyna grozić bieda. Działalność kancelaryi notaryalnych coraz więcej zacieśnia się głównie wskutek konkurencyi, czynionej im przez sądy, albowiem opłaty sądowe za pewne czynności są niższe niż notaryalne, a często nawet sądy nie pobierają ich wcale. Liczba notaryuszy przy postępowaniu spadkowem w roli komisarzy sądowych także coraz bardziej się zmniejsza, a równocześnie sądy spełniają tę funkcyę.

Wszystko to jest wynikiem pewnego, stałego systemu. Już od czasów, jak hr. Schönborn był ministrem sprawiedliwości (1888 do 1895), krąży wiadomość, pogłoska uzasadniona, że rząd chce znieść notaryat. Jak się zdaje, rząd podąża do tego celu bocznemi drogami. Dzisiaj, gdy zawakuje posada notaryusza, to nie obsadza się jej. [illegible] stosunki zarobkowe przez zniesienie albo ograniczenie konkurencyi sądów, znosi się posady notaryusza. Wygląda to na zamiar skasowania notaryatu na wymarcie i zostawienia tylko w wielkich miastach po kilku notaryuszy. Rząd zapiera się stale, jakoby istniał podobny projekt, lecz czyny świadczą przeciwko niemu. Zresztą rząd ku swojemu usprawiedliwieniu powołuje się na frazes bardzo popularny: obniżeżenie kosztów porady prawnej.

Owa chęć zniesienia notaryatu — utrzymuje *Zeit* — płynie z nieprzyjaźni, jaką biurokracya czuje do przedstawicieli wolnych zawodów. Nietylko notaryuszy się rujnuje. Władze podkopują systematycznie także byt adwokatów. Istnieje prąd, by znowu, jak przed 1848 rokiem, stworzyć wszechpotężny, jedynowładny stan urzędniczy, w stosunku do którego ogół nie miałby przewodników, a więc byłby bezwładnym. Notaryusze i adwokaci muszą więc ciężko walczyć o codzienny kawałek chleba po to tylko, żeby módz reprezentować żywioł niezależny wobec urzędników, mających zapewniony byt materyalny. *Zeit* idzie tak daleko, że nawet dzisiejsze przesilenie parlamentarne w Austryi przypisuje faktowi, że adwokaci, notaryusze i lekarze mają coraz mniej sposobności piastowania mandatów poselskich.

Jego zdaniem, dążenie do potanienia pomocy prawnej jest tylko złudzeniem. Prawda, że czynności notaryalne mogą wykonywać sądy. Lecz po zniesieniu notaryatu trzeba będzie pomnożyć liczbę urzędników sądowych, rosnące zaś wydatki pokryć podwyższeniem opłat sądowych. Stan inteligencyi zostanie zdziesiątkowanym, masy wpadną w ręce demagogów, stan urzędniczy będzie zdemoralizowanym, bo zbyt wielki zakres władzy i brak nadzoru zawsze pociągają za sobą demoralizacyę.

Zeit żąda pomocy dla notaryuszy, jako to: usunięcia ich ekonomicznej zależności od sądów, równe opłaty za dokumenty, wystawione przez notaryusza lub sędziego, uregulowanie komisaryatu sądowego z pomocą ustawy, zaprowadzenie zastępstwa prawnego bezpłatnego tylko dla osób istotnie niezamożnych.

Wywody te dziennika wiedeńskiego spotkały się z następującą ostrą odpowiedzią ze strony *Głosu narodu*:

Owa skarga notaryuszy dowodzi, jak to trudno pogodzić się przedstawicielom pewnych zawodów z faktem, że świetne czasy olbrzymich zarobków już się kończą. Władze sądowe spełniają społeczny obowiązek, kładąc tamę zbyt licznym i zbyt wysokim opłatom notaryalnym. Że ten lub ów notaryusz zarobi o kilka tysięcy rocznie mniej, to jeszcze nie nieszczęście. Nie jest także nieszczęściem, że w parlamencie zmniejsza się liczba adwokatów i notaryuszy. Epoki, w których adwokaci wodzą rej w życiu publicznem, są stale okresem politycznego i parlamentarnego upadku. W najzdrowszym parlamencie świata, w angielskim, adwokatów jest niewielu, dużo zaś rolników, kupców, przemysłowców, ludzi, którzy znają praktycznie życie i posiadają doświadczenie organizacyjne.

* * *

Pan Józef Białostocki, dyrektor państwowych kolonii argentyńskich, opowiada w liście pisanym do *Gazety Narodowej* o zmianach, jakie zauważył w polskich osadach w Missiones i w Apostoles w Argentynie, wróciwszy tam po całorocznym pobycie w Europie. Jest tam postęp widoczny na każdym kroku. Przedewszystkiem powstały nowe drogi polne i trakty w kierunkach portów na rzekach Paranie i Uruguayu. Do niedawna bezludne i dzikie stepy ożywiły się. Słychać bezustannie turkot małych wózków galicyjskich, wiozących kukurydzę, fasolę i inne ziemiopłody kolonii do okolicznych miasteczek portowych. Szarzyznę nieprzejrzanych stepów urozmaicają pola uprawne, gęsto porosłe zbożem. Gleby urodzajnej przybywa coraz więcej.

I w plantacyach polskich wychodźców — pisze p. Białostocki — widoczną jest zmiana na lepsze. Od założenia kolonii (w roku 1898) osadnicy prawie wyłącznie oddawali się uprawie kukurydzy, fasoli i bałały (słodkich ziemniaków). Przekroczenia zakresu tej kultury niepodobna im było wyperswadować. Ziemia tutejsza, nadająca się doskonale pod uprawę roślin podzwrotnikowych, nie była dotychczas odpowiednio zużytkowaną, a produkcya wyżej wymienionych ziemiopłodów jeszcze w roku 1902 doszła do takiej obfitości, że na rynkach zbytu cena ich bardzo spadła. Dochody nie opłacały pracy i transportu; wywóz zaś do stolicy lub za granicę z powodu nizkiej ceny kukurydzy i nasion strączkowych był zupełnie niemożebnym. Gwałtowny spadek cen groził przesileniem, którego początki w zeszłym roku poczęli nasi osadnicy przykro odczuwać. Taki stan rzeczy nie był trudnym do przewidzenia. To też jeszcze przed dwoma laty przedsięwziąłem usilne starania, aby skłonić naszych do uprawy bawełny i rycinusu, które się tutaj doskonale udają i których ceny na rynkach europejskich stale wzrastają.

Nie mało jednak trzeba było mozołu, aby naszych osadników przekonać, iż na tej uprawie będzie polegało bogactwo i przyszłość kolonii polskich. Owe perswazye były połączone z coniedzielnemi pouczeniami o sposobie uprawy wspomnianych produktów. Czego słowami nie można było osiągnąć, tego dokonała potrzeba. Gdy się osadnicy przekonali, że zbiór kukurydzy zapowiada się nieosobliwie, że nie będzie miał żadnego zbytu, poczęli wreszcie sadzić bawełnę i rycinus. Niestety, pobyt mój w Europie wyzyskali niesumienni przedsiębiorcy i przebiegli spekulanci. W tym bowiem czasie udało im się pozawierać z polskimi osadnikami kontrakty na rok, dwa i trzy, zakupując od nich na miejscu całą ich produkcyę bawełny na bardzo niekorzystnych dla Polaków warunkach, bo po cenie trzy razy niższej od tej, jaką płacą w stolicy. Dopiero za powrotem dowiedziałem się o tych kontraktach, ubolewając bardzo, iż nie mogłem być obecnym podczas zawierania umów. Teraz już będzie bardzo trudno naprawić nadużycia. Zdołałem tylko wstrzymać od zawierania kotraktów tych, którzy umów jeszcze nie podpisali.

Rezultat nowej uprawy jest doskonały i widoczny. Koloniści przekonali się o tem dowodnie, a choć w pierwszym roku, ze względu na zawarte umowy, nie osiągną całkowitej korzyści, będą już odtąd wiedzieli, czego się mają trzymać i której gałęzi uprawy pracę swą poświęcać. Ta nowa uprawa bawełny, nad której szerzeniem bezustannie pracuję, zapewni na zawsze byt tych kolonij i uwolni je od przesileń ekonomicznych; zapotrzebowanie bowiem bawełny stale się wzmaga na rynkach Ameryki i Europy.

Lecz i uprawa bawełny ma swe ujemne strony. Przedewszystkiem niszczy bawełnę znana w tych stronach plaga — mrówki. By się od niej uchronić, musi każdy gospodarz zaopatrzyć się w odpowiedni przyrząd do tępienia tego szkodnika. Tępienie połączone jest ze żmudną pracą, wymagającą niemało wytrwałości.

W Missiones wyznaczył rząd argentyński na nowe osady ponownie 12.000 hektarów ziemi.

Immigracyi wychodźców europejskich w roku zeszłym nie było wcale ani w Missiones, ani w Apostoles. Zapewne wpłynęły na to moje do was korespondencye, w których donosiłem, że w Apostoles nie było chwilowo ziemi skarbowej do rozkolonizowania.

O ile mi wiadomo, wychodźcy wstrzymali się w r. 1903 wogóle z wyjazdem do Argentyny. Zupełnie co innego zapowiadała broszurka, wydana w języku hiszpańskim w Viedna (repub. argentyńska) przez Salezyanina, X. Stanisława Cynalewskiego, który dąży do utworzenia osad polskich z żywiołów galicyjskich w okolicach na południe od Buenos-Ayres, na ziemi Ognistej w Pampie Central. X. Cynalewski występuje wobec tutejszego rządu jako jedyny i wyłączny protektor. Broszurka, mająca na celu uzyskanie od tutejszego rządu kapitałów bez żadnej gwarancyi, oznajmia, że na wezwanie autora przybędzie z Galicyi 5.000 rodzin lub 25.000 ludzi, którzy ugrupują się pod jego protektoratem. Fakt ten miałby być gwarancyą i kompensatą dla rządu. Nie przejmuję się zbytnio tą wiadomością i nie obawiam się, by tak wielka ilość rąk miała ubyć krajowi, gdyż w gruncie jestem przekonany, że broszurka wspomniana, jak wiele jej podobnych, jest tylko *une réclame*, na którą jednak rząd tutejszy nie zwraca uwagi.

Opieram swe przekonanie i na tem, że mi wiadomo, iż osadnicy nasi są stosunkowo dość oględni i zanim się zdecydują na emigracyę w większej liczbie do pewnego, oznaczonego miejsca, wysyłają najpierw swych delegatów, ludzi rozsądnych i sumiennych, by rozpatrzyli stosunki na miejscu. Ponieważ Pampa Central nie nadaje się pod uprawę roli z powodu braku wody i deszczów, o czem świadczy wymownie zupełne osamotnienie owych stron, jestem więc przekonany, że delegaci naszych osadników, zbadawszy stosunki na miejscu i przekonawszy się, że niema tam obszarów, nadających się do rozparcelowania, będą w stanie powściągnąć zapał owych 25.000 ludzi, dla których obietnice, zawarte w broszurze, nie przedstawiają jeszcze właściwej gwarancyi.

Kończąc, muszę donieść z przykrością, że nowi nasi przybysze szybko się wynaradawiają, że nie dbają o oświatę swych dzieci i oddają się opilstwu. Wynaradawianie się jest w ogóle właściwem osadnikom wszystkich narodowości w Ameryce południowej. Wychodźcy galicyjscy tem łatwiej zatracają swą narodowość, że stopień ich oświaty jest bardzo niski, a poczucie narodowości własnej jest w nich słabo rozwinięte; dotyczy to przedewszystkiem Rusinów. Inteligentniejsi osadnicy z łatwością wprawiają się w języku hiszpańskim i przejmują się z zapałem duchem miejscowym; zaczynają gardzić braćmi, którzy się noszą po wiejsku, a którzy przed paru laty byli we wsi rodzinnej, w Galicyi ich sąsiadami, kumami itd.

Do rządowych szkół bezpłatnych (których jest tu 5) osadnicy nasi dzieci swych nie posyłają. Polską szkołę, która miała być wzniesiona ze składek, a na którą grunt, ogrodzenie i kamienie wyznaczyła już tutejsza administracya, ujrzałem za powrotem z Europy — o zgrozo! — przekształconą w kram i karczmę. I tych karczem i karczemek zastałem za powrotem aż 13. Z całą surowością musiałem przystąpić do ich zamykania, nakładając kary za sprzedaż i kontrabandę napojów wyskokowych.

Wojna rosyjsko-japońska.

(*Ze źródeł rosyjskich*).

Petersburg 21 czerwca. Skrydłow telegrafuje dnia 20 czerwca, że wszystkie rosyjskie krążowniki wróciły do Władywostoku, nie odniósłszy żadnej szkody, nie utraciwszy ani jednego żołnierza.

Liaojan 21 czerwca. Nadchodzą tu sprawozdania o nowych wielkich bitwach na południu. W pobliżu Kaiczu toczyć się ma walka, Pociąg z rannymi odjechał na północ, inne pociągi mają niebawem wyruszyć.

(*Ze źródeł japońskich*).

Tokio 21 czerwca. Z Simonoseki donoszą, że słychać tam było kanonadę. Sądzą, że władywostocka eskadra ponownie pojawiła się w cieśninie koreańskiej.

Londyn 21 czerwca. Do *Daily Mail* donoszą z Hakodate: Kapitan przybyłego z Szangaju amerykańskiego okrętu opowiada, że dnia 18-go czerwca rosyjskie krążowniki zatrzymały jego okręt i przeszukały go. Dopiero po dwóch godzinach pozwolono okrętowi jechać dalej.

Tokio 21 czerwca. Japończycy obsadzili wczoraj miejscowość Hsinkaipin, 23 mil na zachód od Fenwanczengu.

Londyn 21 czerwca. Donoszą z Tokio o walce pod Wafankou: Rosyanie zajmowali znakomitą pozycyę. Wkrótce jednakże Japończycy w skutek większej liczby wojsk wyrównali korzyść, jaką Rosyanom dawała pozycya. Jenerał Oku wyparł Rosyan ze wszystkich wyżyn, zaatakował prawe skrzydło i zmusił je do odwrotu. To samo uczynił następnie z lewem skrzydłem rosyjskiem. Zawzięta walka trwała cały dzień. Rosyanie bronili się bardzo dzielnie, i cofnęli się dopiero wówczas, gdy prawie zupełnie byli osaczeni przez Japończyków; zostawili oni na pobojowisku 600 trupów.

Tokio 21 czerwca. Jenerał Oku donosi, że na polu bitwy pod Tellissu pogrzebali Japończycy 1516 poległych Rosyan. Wielu poległych Rosyanie pogrzebali sami, albo ich ciała spalili, albo też ze sobą zabrali.

Londyn 21 czerwca. Niektóre tutejsze dzienniki, mało zresztą wiarygodne, otrzymały z Japonii telegramy donoszące, że okrętom japońskim pod wodzą Kamimury udało się odciąć eskadrze władywostockiej drogę powrotną do Władywostoku, i że eskadrę tę widziano na północny zachód od wyspy japońskiej Nippon. Z południa zaś płynie ku niej oddział floty admirała Togo, tak, iż prawdopodobnie przyjdzie do wielkij bitwy morskiej. (Wiadomość ta nie zasługuje na wiarę wobec faktu, że Skrydłow, jak zapewnia urzędowa rosyjska depesza, wrócił już do Władywostoku i stamtąd telegrafował o tym powrocie do cara. *Przyp. Red.*)

* * *

Z Liaonjanu donosi korespondent dziennika rosyjskiego *Nowy dzień*:

Dnia 24 maja przybyło tu pięć osób z Portu Artura, które zdołały przedostać się przez straże japońskie. Kompania z 10 ludzi postanowiła opuścić Port Artura i dostać się do swych rodzin, przebywających w Dalnym i Charbinie. Byli to dwaj kupcy z Dalnego, Tichopławow i Kriukow, oraz kilku mieszkańców Portu Artura, w tej liczbie był podobno także korespondent któregoś z dzienników.

Zdołali oni wszyscy dotrzeć pomyślnie do Dalnego, lecz niestety, nie znaleźli tam nikogo, którby im mógł być pomocnym i wszelka komunikacya z północą była przecięta. Wówczas postanowili wynająć dżonkę chińską i udać się do Czifu. Przewoźnik chiński wiózł ich morzem całą dobę, lecz potem nie chciał płynąć dalej i udał się z powrotem do Kinczou, gdzie właśnie odbywało się wylądowywanie Japończyków. Skłonili więc Chińczyka, by im pozwolił wysiąść na brzeg, nie dopływając do Kinczou. Tam podzielili się na dwie partye: pięciu z nich, a w tej liczbie kupcy Tichopławow i Kriukow postanowili wynająć od Chińczyków dżonkę, rozpiąć żagiel i odpłynąć na morze, trzymając się zdala od brzegu i transportów japońskich, potem minąwszy Kinczou, przybić do brzegu gdzieś w dalszym punkcie i udać się na północ, by się dostać do linii kolei żelaznej. Druga partya, uważając tę kombinacyę za zbyt ryzykowną, pozostała na brzegu, i co się z nią stało, niewiadomo.

Pierwsza partya szczęśliwie uniknęła spotkania z Japończykami. Zapewne zajęci wylądowaniem Japończycy nie spostrzegli żaglowej łodzi chińskiej lub też nie przypuszczali, że znajdują się na niej Rosyanie. Podróżni więc zdołali, ominąwszy Japończyków, przybić do brzegu i udali się pieszo na północ; za pożywienie mieli tylko chleb, który zabrali ze sobą, a potem musieli się kontentować strawą chińską. Wkrótce napotkali jakichś żołnierzy chińskich. Chińczycy przetrzymali ich przez dwa dni, a potem wziąwszy okup w kwocie 130 rubli, odprowadzili ich do pobliskiej wsi i puścili na wolność. Wynajęto „arbę" i po czterech dniach podróżni, zmęczeni i głodni, dostali się do Kaiczou.

Z powodu niesłychanego zmęczenia dopiero po dwóch dniach wypoczynku mogli wyruszyć w dalszą drogę towarowym pociągiem wojennym, w którym transportowano także jakiegoś szpiega japońskiego. Cała ta trudna przeprawa, pełna obaw i niepokoju, trwała 17 dni i z pewnością nieprędko zatrze się w pamięci jej uczestników. Kriukow, człowiek młody, bo liczy lat 32, posiwiał w ciągu tych paru tygodni.

KRONIKA.

Lwów 21 czerwca.

J. E. X. arcybiskup Bilczewski otrzymał od Ojca świętego godność asystenta tronu papieskiego i tytuł hrabiego rzymskiego.

Konsekracya i intronizacya gr. kat. biskupa stanisławowskiego, X. Grzegorza Chomyszyna odbyła się onegdaj w Stanisławowie z wielką uroczystością. Już od wczesnego rana tłumy wiernych wypełniły miejscową cerkiew katedralną, oraz place i ulice, wiodące z pałacu biskupiego do cerkwi. Miasto było przystrojone chorągwiami i zielenią, asystę honorową przed cerkwią pełniło wojsko, szpalery w ulicach tworzyła młodzież szkolna.

O dziewiątej wyruszył X biskup ze swego pałacu w otoczeniu duchowieństwa, bractw i rozmaitych stowarzyszeń ruskich do cerkwi katedralnej, gdzie ściśle według przepisanego ceremoniału odbyła się uroczystość jego konsekracyi i intronizacyi. Dopełnił jej X. metropolita Szeptycki wraz ze współkonsekratorami: arcybiskupem Bilczewskim i biskupem Czechowiczem, a w asystencyi nader licznego duchowieństwa.

Przed wielkim ołtarzem zajęli miejsca przedstawiciele rozmaitych władz rządowych i autonomicznych z namiestnikiem hr. Potockim i marszałkiem kraju hr. Badenim na czele, liczne obywatelstwo, marszałek powiatu stanisławowskiego, burmistrz miasta, kilku posłów itd.

Gdy z pałacu wprowadzono do cerkwi katedralnej X. biskupa-nominata, rozpoczął X. metropolita Szeptycki nabożeństwo pontyfikalne. Przy t. zw. „pierwszym wchodzie", gdy dyakon wygłosił „Premudrost prosty!", przystąpił X. biskup-nominat do wrót carskich, na rozpostarty przed ołtarzem dywan z wyobrażeniem orła, symbolizującego podniosłość ducha, i wtedy na wezwanie przez archidyakonów do uwagi, wygłosił „Postulat" X. Mitrat Faciewicz krótką do X. metropolity przemowę, w której prosił o wyświęcenie X. dr. Chomyszyna na biskupa.

X. metropolita zapytał: „Po coś przyszedł i czego żądasz?" — na co nominat odpowiedział: „Wyświęcenia, jako mianowany przez św. Stolicę rzymską na biskupa stanisławowskiego".

X. metropolita odrzekł: „Ja mam prawo święcić, a Wy czy macie hramoty (bulle) Ojca św.?

Otrzymawszy odpowiedź od nominata, wygłoszoną wspólnie z kanonikami kapituły: „Mamy", wziął konsekrator podane sobie na srebrnej tacy bulle do ręki, poczem polecił odczytać je z ambony.

Po odczytaniu ich zapytał konsekrator X. nominata o wyznanie wiary.

Po pierwszem wyznaniu nastąpiła ponowna prośba o konsekracyę i drugie obszerne wyznanie wiary, wygłoszone z miejsca na środku wspomnianego orła symbolicznego, a rozpoczynające się od słów: „Ja Grzegorz Chomyszyn łaską Bożą i błogosławieństwem św. Stolicy Apostolskiej wybrany na św. biskupstwo grodu stanisławowskiego wierzę" i t. d.

Z kolei złożył konsekrowany, stojąc na głowie orła, trzecie najobszerniejsze wyznanie wiary, zakończone uroczystą przysięgą, poczem X. metropolita Szeptycki, udzieliwszy X. Chomyszynowi po raz trzeci błogosławieństwa, przystąpił do właściwego aktu konsekracyi, który odbywa się w sposób następujący:

Postulat (X. Mitrat Faciewicz) wnosi *Ad multos annos* (Mnohaja lita) dla konsekrowanego, poczem dyakoni podają mu insygnia biskupie. Konsekrator i współkonsekratorowie przystępują do wielkiego ołtarza, przed którym klęczący konsekrowany ma nad głową rozpostartą Ewangelię św., którą asystujący biskupi podtrzymują. Konsekrator odprawia następnie modlitwę o zesłanie Ducha św. na konsekrowanego i czyni nad głową klęczącego trzy razy znak Krzyża św., poczem przy odpowiednich modlitwach dyakonów za Ojca św., Najj. Pana, za Metropolitę, za konsekrowanego biskupa, tudzież za wszystkich biskupów, za duchowieństwo i wszystkich wiernych, wkłada na konsekrowanego t. zw. „omofor" jako specyalną odznakę godności biskupiej.

Po skończeniu Mszy świętej przeszedł nowy biskup przez cerkiew i udzielił wszystkim błogosławieństwa, poczem przybrany w liturgiczne szaty biskupie, zasiadł na tronie, a X. mitrat Faciewicz powitał go w krótkiej przemowie imieniem kapituły stanisławowskiej, kleru dyecezyalnego i wiernych, jako nowego władykę.

X. Biskup Chomyszyn w odpowiedzi oświadczył, że będzie w swojej działalności pasterskiej wyznawcą słów apostolskich: „Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli" i zakończył udzieleniem błogosławieństwa i wezwaniem do odśpiewania „Mnohaja lita" na cześć Ojca św. i Najjaśniejszego Pana, poczem zaintonował jeszcze X. mitrat Faciewicz ten sam hymn na cześć X. biskupa. Podczas gdy chór śpiewał ten hymn, duchowieństwo przystępując w porządku hierarchicznym do tronu składało nowemu władyce „homagium".

Po odśpiewaniu *Te Deum* udzielił X. Biskup Chomyszyn błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, poczem w procesyonalnym pochodzie wrócił do swego pałacu, gdzie z balkonu jeszcze raz pobłogosławił zgromadzonych tam wiernych.

O godz. 5-ej popołudniu odbył się w Stanisławowie na cześć nowego Biskupa koncert, urządzony staraniem miejscowych ruskich Stowarzyszeń śpiewackich, a o godz. 7-ej obiad w pałacu biskupim, w którym wzięli udział wspomniani wyżej Arcybiskupi i Biskupi, liczne duchowieństwo, przedstawiciele obywatelstwa oraz przedstawiciele rozmaitych władz rządowych i autonomicznych.

Szereg toastów w czasie obiadu rozpoczął X. Biskup Chomyszyn toastami na cześć Ojca św. i Najj. Pana, dalej X. Metropolity Szeptyckiego, XX. Arcybiskupów Bilczewskiego, Teodorowicza i biskupa X. Czechowicza. X. Metropolita wniósł zdrowie nowego Biskupa, poczem znowu gospodarz toastował kolejno na cześć namiestnika i marszałka krajowego. Namiestnik imieniem własnem i marszałka krajowego wniósł toast na cześć duchowieństwa dyecezyi stanisławowskiej i jej nowego zwierzchnika. X. Biskup Chomyszyn toastował następnie na cześć armii, na co generał-porucznik Freund odpowiedział gorącem podziękowaniem. Wnosili dalej toasty na cześć nowego Władyki X. Arcybiskup Bilczewski imieniem duchowieństwa łacińskiego, prezes Rady powiatowej Cieński imieniem powiatu i miasta, radzca sądowy Karanowicz imieniem dyecezyan z Galicyi, prof. dr. Smal-Stocki imieniem dyecezyan z Bukowiny, wreszcie X. Arcybiskup Teodorowicz zakończył szereg toastów pięknem, pełnem głębokich myśli przemówieniem: „Kochajmy się!".

Nowy Biskup otrzymał od p. namiestnika parę pięknych koni, a od innych życzliwych mu osób wiele innych cennych upominków.

Krakowskie Towarzystwo Sztuk pięknych zamianowało z okazyi 50-lecia swego istnienia członkami honorowymi: Brandta (z Monachium), dra Benniego (z Warszawy), Chełmońskiego (z Król. polskiego), Jacka Malczewskiego, hr. Edwarda Raczyńskiego i prof. Maryana Sokołowskiego.

Wiadomości urzędowe. Prezydent gabinetu jako kierownik ministerstwa sprawiedliwości przeniósł sekretarzy sądowych: Ignacego Hontha z Przemyśla do Birczy, Michała Felsztyńskiego z Potoka Złotego do Kołomyi, Leona Nawrockiego z Mikołajowa do Lwowa, Juliana Curkowskiego z Zastawnej do Czerniowiec, Tymeona Widiniwskiego z Dolnej Watry do Suczawy, Józefa Willaume z Zabłotowa do Brzeżan, Zygmunta Bikalesa z Wyżnicy do Zastawnej, Klemensa Zahradnika z Kałusza do Sambora, Michała Jacenio ze Stanisławowa do Przemyśla, Jana Mańkowskiego z Budzanowa do Sanoka, dra Dawida Engla z Monasterzysk do Tarnopola, Adama Harlandera z Buska do Przemyśla, Stanisława Przybysławskiego z Kulikowa do Niemirowa, Aleksandra Mogilnickiego z Niemirowa do Stanisławowa, Józefa Gaya ze Skałatu do Złoczowa, Karola Wiszniewskiego z Kosowa do Dobromila, dra Hermana Plahnera z Czortkowa do Stanisławowa, Maryana Misińskiego z Tarnopola do Lwowa, Antoniego Gawlika z Birczy do Jarosławia, dra Kornelego Georgiana z Gora-Humory do Czerniowiec i Stefana Drohomireckiego z Tłumacza do Stanisławowa.

Prezydent gabinetu zamianował sekretarzami adjunktów: Aleksandra Gryglewskiego z Winnik dla Mikołajowa, Felicyana Marcinkiewicza z Tłumacza dla Buska i Kornela Bojkiewicza z Wojniłowa dla Turki.

Epidemia tyfusu wygasła już w Leśniówce przy Pustomytach w pow. lwowskim.

Od prof. dra Raczyńskiego otrzymujemy następujące pismo:

Wielce Szanowna Redakcyo!

Środkowa część artykułu p. t „Towarzystwo szpitalika św. Zofii", pomieszczonego w kronice nr. 139 *Przeglądu*, przedstawia rzecz dotyczącą szpitalika, kliniki chorób dzieci i mojej osoby nie dość ściśle lub niezgodnie z prawdą.

Dlatego proszę uprzejmie o zamieszczenie tych kilku słów wyjaśnienia, a mianowicie, że klinika chorób dzieci otwartą jeszcze nie została, sprawa ta jest na drodze układów między Towarzystwem i rządem, wykłady zaś odbywam w szpitaliku św. Zofii na podstawie tymczasowego porozumienia, że wreszcie nie zrzekłem się obu prymaryatów (tj. na oddziale chorób wewnętrznych i chorób zakaźnych), lecz przeciwnie w drodze kompromisu uzyskałem potwierdzenie mych praw lekarza ordynującego na tych dwu oddziałach i obowiązki te od 1go maja sprawuję. Z poważaniem

Raczyński.

Wykupno tramwaju konnego. Na wczorajszej sesyi magistratu rozpatrywano znowu sprawę wykupna tramwaju konnego za cenę 900.000 kor. Gdyby gmina ofertę przyjęła, musiałaby już z dniem 1 lipca b. r. objąć przedsiębiorstwo i płacić Towarzystwu tryesteńskiemu po 5% od ceny kupna, dopóki by jej w całości nie złożyła, co musiałoby nastąpić najdalej do końca grudnia. Jakkolwiek przechodziłoby to siły gminy, która oprócz ceny kupna, musiałaby wydać jeszcze przeszło milion koron na przemianę trakcyi na elektryczną, przecież znaleźli się tacy obywatele, którzy za wykupnem tramwaju konnego głosowali. Byli to referent sprawy p. Cetwiński, radzca Jakubowski, dyrektor Hochberger i delegat Bardasz. Jako oponent przemawiał dyrektor magistratu p. Lukas, który radził wstrzymać się do upływu kocesyi, tj. do roku 1929, ewentualnie zaś obstawać przy cenie wykupna 600 000 koron. Za wnioskiem tym głosowali: wnioskodawca, wiceprezydent Ciuchciński i radni Fiszer i Ostrowski. Ponieważ za wykupnem tramwaju jak i przeciw była równa liczba głosów, przeto przewodniczący sesyi p. Michalski rozstrzygnął sprawę na rzecz p. Lukasa.

Sprawa ta będzie we czwartek przedmiotem obrad Rady miejskiej. Spodziewamy się, że rozsądne zdanie pp. Lukasa, Fiszera, Ciuchcińskiego i Ostrowskiego weźmie górę wśród członków naszej Rady i że większość stanie po stronie zwalczającej prywatę. W każdym zaś razie domagać się należy, aby głosowanie nad tą sprawą było imienne, żeby ogół mieszkańców Lwowa znał dobrze nazwiska tych radnych, którzy chcą gminę wepchnąć w tę, tak bardzo szkodliwą facyendę.

Wielka wycieczka do Gródka Jagiellońskiego na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach „Sokoła" odbędzie się 3 lipca.

Z konserwatoryum gal. Towarzystwa muzycznego. W konkursie publicznym, który się odbędzie we środę 22go czerwca o godz. 4tej po południu wezmą udział następujący uczniowie: Z klasy gry na skrzypcach: p. K. Jaworowska (Händel Sonata A-dur), p. W. Baranowski (Vieuxtemps Fantazya-appassionata). Z klasy śpiewu solowego: p. J. Żukowska (a. Sołtys pieśń, b. Moniuszko Prząśniczka) p. W. Hendrich (Gömes Loschiavo arya) p. J. Sołohubówna (Donizetti La madre e figlia). Z klas fortepianowych: p. E. Rzeszotkówna (Grieg koncert A-moll), p. O. Folger (Czajkowski koncert B-moll) p. W. Hendrich (Grieg sonata), p. Flora Szczepanowska (Chopin koncert). Z klasy kompozy-

cyi: p. J. Charzewski (Andante), p. J. Lehrer (Scherzo).

Służba zdrowia we Lwowie. Nakładem gminy wyszedł we Lwowie spis lekarzy, weterynarzy, aptekarzy i akuszerek, pracujących w naszem mieście w roku bieżącym. Według tego spisu, zestawionego przez fizykat miejski, ma Lwów obecnie 317 lekarzy, w tem 23 operatorów, 20 akuszerów, 14 okulistów i 12 dentystów. Ośmiu lekarzy odbywa praktykę w zakładach zdrojowych, a 17 wcale praktyki nie wykonuje. Patronów chirurgii tj. lekarzy starej daty, t. zw. praktycznych lekarzy, nie posiadających studyów uniwersyteckich, jest w r. b. 11; w r. 1902 było ich 12; jeden umarł, a nie przybywa nikt, gdyż od wielu lat stopnia patrona chirurgii już się nie udziela.

Akuszerek jest we Lwowie w r. b. ogółem 309. Fizykat wykazuje nadto 78 akuszerek pokątnych, których miejsca zamieszkania nawet z pomocą policyi nie zdołano wyśledzić.

Weterynarzy posiadał Lwów w roku ubiegłym 25; aptek zaś 17, przyczem pracowało w nich 76 magistów farmacyi.

Krajowe Towarzystwo naftowe odbyło wczoraj swe walne zgromadzenie w lokalu Tow. politechnicznego. Przewodniczył p. Gorayski. Na wstępie nowomianowani członkowie honorowi Towarzystwa pp. Gorayski i Mac Garvey podziękowali za ten zaszczyt, poczem sekretarz omówił działalność Towarzystwa w ubiegłym roku. Brało ono czynny udział w utworzeniu Związku producentów naftowych „Petrolea“, gorliwie popierało sprawę udzielenia subwencyi krajowej na budowę zbiorników na ropę, urządziło wiec interesentów we Lwowie w sprawie nowych przepisów górniczo-policyjnych, pracowało wydatnie w ankietach, zwołanych przez Wydział krajowy, w przedmiocie przygotowania nowych traktatów handlowych, uzyskało od rządu przychylną odpowiedź w sprawie urządzenia telefonu między Borysławiem a Lwowem, ogłosiło statystykę przemysłu naftowego i rozszerzyło czasopismo swe *Nafta*.

Obecnie Towarzystwo między innemi zajmuje się kwestyą zmiany ustawy naftowej i ubezpieczenia urzędników naftowych, tudzież sprawą opodatkowania przemysłu naftowego.

Po przyjęciu sprawozdania i udzieleniu wydziałowi absolutorynm, rozwinęła się dyskusya nad sprawą taryf eksportowych, w szczególności nad żądaniem, aby taryfę na naftę galicyjską w Niemczech zrównano z taryfą na naftę rosyjską. W końcu omawiano kwestyę wciągnięcia do Towarzystwa także licznych drobnych przemysłowców naftowych, którzy dotąd stoją po za niem.

Wieczorem odbył się w hotelu George'a bankiet na cześć nowych członków honorowych Tow.

Do stołów bardzo gustownie przybranych kwiatami zasiadło przeszło 100 osób. Szereg oficyalnych toastów rozpoczął II-gi wiceprezes kraj. Towarzystwa naftowego, dyrektor dr. Jan Kanty Steczkowski, a zwracając się do prezesa Towarzystwa p. Augusta Gorayskiego zaznaczył, że imię prezesa od dziesiątek lat związane jest z naszym przemysłem naftowym i działalnością Towarzystwa. Wręczając prezesowi to, co Towarzystwo ma najszacowniejszego, dyplom honorowy, spełniamy — powiedział mówca — w drobnej części dług wdzięczności za pełną poświęcenia, niestrudzoną pracę, której przyświecała zawsze jedna tylko myśl: pomyślność kraju i dźwignięcie jego materyalnych sił i zasobów.

Mówca wspomniał, że przemysł naftowy znajduje się obecnie w chwili przełomowej; trzeci rok już trwa przesilenie w górniczym przemyśle naftowym, wywołane nadprodukcyą. Przemysł ten ulega od szeregu lat przeobrażeniu, które określić można jednem zdaniem: „Zanik średnich i małych przedsiębiorstw kopalnianych na rzecz wielkich, kapitalistycznych oraz uzależnienie produkcyi surowca od przemysłu rafinatorskiego“. Pewnem jest, że na tej walce ekonomicznej zyskuje kapitał obcy, pozakrajowy. Przez to kraj pozbywa się zysków przedsiębiorcy, a żywioł krajowy spychany jest na stanowisko podrzędne.

Prezes Gorayski przewidywał to i nie zaniechał w odpowiedniej chwili nawoływać krajowych przemysłowców naftowych do zespolenia się w celu stawienia czoła grożącemu niebezpieczeństwu. Nie traćmy wiary w lepszą przyszłość. Jesteśmy żywiołem ruchliwym, tak jak produkt, który wydobywamy na wierzch. Nauczeni doświadczeniem potrafimy zatem w zespoleniu sił własnych stworzyć zawiązek organizacyi, którąby w interesie czysto krajowym odrobiła złe przeszłe i zachowała całe bogactwo naszej ziemi dla nas i dla kraju. W tej intencyi wznoszę toast: „p. prezes Gorayski niech żyje!“

Po tem przemówieniu wręczył dr. Steczkowski wśród oklasków p. Gorayskiemu dyplom na członka honorowego, wykonany na pergaminie, a ozdobiony przez artystę Rejchana bardzo pięknym rysunkiem.

Dr. Steczkowski zabrawszy po chwili powtórnie głos, w wymownych słowach wyraził wdzięczność drugiemu członkowi honorowemu, wiceprezesowi Towarzystwa Mac Garveyowi za jego 20-letnią pracę i zasługi około rozwoju przemysłu naftowego. Mac Garvey był tym, który wprowadził w naszym kraju system kanadyjskiego wiercenia. Po toaście na cześć Mac Garveya wręczył mu dr. Steczkowski taki sam dyplom na członka honorowego.

Następnie podziękował prezes Gorayski z rozrzewnieniem za zaszczyt mianowania go członkiem honorowym.

Z kolei dziękował p. Mac Garvey. P. Łodziński wniósł toast na cześć gości. Dyr. dr. Zgórski toastował na cześć Gorayskiego, jako tego, który pierwszy podniósł myśl stworzenia krajowej instytucyi finansowej.

P. R. Bataglia wzniósł toast na pomyślny rozwój przemysłu naftowego i kooperacyę tego przemysłu z innemi gałęziami przemysłu fabrycznego. Następnie toastowali: prof. Syroczyński na pomyślność przedsiębiorstw naftowych, p. Fedorowicz na cześć inż. Wolskiego, dr. Tarasiewicz na cześć prasy, apelując do dzienników z prośbą o popieranie przemysłu naftowego i w. i.

Mianowania. Cesarz zamianował b. namiestnika hr. Leona Pininskiego i prof. Aleksandra Barwińskiego członkami Rady szkolnej na najbliższy 3 letni okres.

Zmiana własności. Majątek Tęgoborze z przyległościami w okręgu sądeckim obszaru blisko 1000 morgów nabyli od p. Władysława Wielogłowskiego pp. Tustanowski, radzca namiestnictwa i starosta w Gorlicach, oraz Gustaw Hinzinger, notaryusz w Rzeszowie, za 380.000 koron, oprócz inwentarzy.

Czertkow rażony apopleksyą. Z Warszawy drogą na Londyn nadchodzi bardzo niepewna wiadomość, że Czertkow tak się przeraził zamachu na Bobrikowa, że dostał ataku apoplektycznego. Gdyby to było prawdą, to byłoby znamiennem nawet w takim razie, gdyby ten atak był bardzo lekkim, bo możnaby przypuszczać, że w tym satrapie ruszyć się może sumienie.

Czesi sprzymierzeńcami Rosyi. Czeski poseł Klofacz i malarz Barteldi przybyli do Petersburga, aby stamtąd wyjechać do Mandżuryi na teatr wojny. Współpracownik *Rusi* interviewował ich i taką zdaje z rozmowy z nimi relacyę:

Klofacz zamierza wydać książkę o wojnie, a Barteldi będzie ją ilustrował i to w tym celu, ażeby „odeprzeć kłamstwa (!) rozsiewane o Rosyi przez prasę nieprzyjazną Słowianom“. Współpracownik *Rusi* wypytywał Klofacza o to, jakie wrażenie wywarła na Czechów wiadomość o dotychczasowych klęskach. Klofacz zapewnił, że Czesi głęboko współczują z Rosyanami, a jego towarzysz Barteldi dodał, że dzieci czeskie na wiadomość o zatopieniu „Petropawłowska“ głośno w szkołach płakały! Klofacz oświadczył dalej, że zwątpił już był w ostateczne zwycięstwo Rosyi; dopiero teraz, gdy przyjechał do Rosyi i spostrzegł wśród narodu rosyjskiego wielką pewność siebie, wróciła mu wiara w zwycięstwo Rosyi.

Burza w Warszawie. W sobotę wieczorem przeszła nad Warszawą straszna burza z ulewą, wichurą, przypominającą prawdziwą trąbę powietrzną z grzmotami, a choć trwała zaledwie kilka minut, wyrządziła ogromne szkody. W ogrodach i parkach połamała wiele pięknych starych drzew, powybijała mnóstwo szyb, przerwała druty telegraficzne i telefoniczne, zrywała dachy i szyldy, przewracała płoty, parkany i latarnie mi cegłami, dachówkami i kamieniami, wyrywała ramy z okien, a nawet wichura przewróciła dorożkę.

Pogotowie ratunkowe wykazało sześć wypadków nieszczęśliwych skutkiem burzy. Krawiec pewien uderzony padającem drzewem ma złamane dwa żebra i doznał ciężkiego pokaleczenia i potłuczenia całego ciała. Cztery osoby okaleczone przez wyrwane i spadające ramy okienne z szybami, wreszcie w rzeźni na Powązkach zawaliła się część tej budowli, a spadająca belka uderzyła jakiegoś stróża tak straszliwie, że pogotowie odwiozło konającego do szpitala św. Ducha.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 13, w poł. + 20. Bar. 779. Spada. Około godz. 2 burza z piorunami.

Ocena.

Józef. Masz ładnego psa. Ilebyś chciał za niego?

Jan. Sto koron.

Józef. Czy rozumny?

Jan. Ba! Tyle umie, co ja.

Józef. W takim razie dam za niego — 10 K.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we wtorek „Niobe,“ komedya w 3 aktach z angielskiego H. Gaultona. — We środę „Wszystko dobre, co się dobrze kończy,“ komedya Szekspira. — We czwartek „Papla,“ komedya Edmunda Sée. — W piątek „300 dni“. — W sobotę „Mieszczanie,“ sztuka M. Gorkiego. — W niedzielę „Trzysta dni“; krotochwila P. Gavault i R. Charcey.

Teatr ludowy. Dziś we wtorek „Wesoły aptekarz“ („Hulaka“), krotochwila w 4 a. z francuskiego Gondillota. — We środę „Zagroda Sobkowa“, sztuka ludowa ze śpiewami i tańcami Błotnickiego. — We czwartek „Czwarty wieczór śmiechu,“ z całkiem nowym i nader urozmaiconym programem.

Literatura i sztuka.

* **Wiadomości fotograficzne.** Zeszyt 12 zawiera śliczne trzy pejzaże p. W. Męczyńskiego z Kijowa i nader zajmujący artykuł p. Z. Świtkowskiego o „Zastosowaniu teleobjektywów“.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 21 czerwca. Na wczorajszy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź, ogółem 4719 sztuk. W tem było z Galicyi 347 sztuk, z Bukowiny — sztuk. Przebieg targu był spokojny. Ceny niezmienione. — Niesprzedanych pozostało 58 sztuk. Wołów z Galicyi sprzedano 86 sztuk po 68 do 73 K., 220 sztuk po 74—78, 19 sztuk po 79 do 81, — po — do — K. Buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 70 do 82 koron, krowy podtuczone po 62 do 72 koron, bydło chude po 44 do 69 K. — wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

Sport.

Wyścigi w Krakowie.

Dzień piąty. — Niedziela.

Ulewa w nocy ze soboty na niedzielę polepszyła nieco tor, konie też przychodziły do mety świeże, raźniej, w bardziej wyciągniętym galopie. Że poprzednie zapasy na twardej arenie przerzedziły zastępy współkonkurentów, dało się to odczuć najbardziej w tym właśnie dniu niedzielnym i ostatnim zarazem. Dwa walkovery na siedm biegów, to trochę za dużo; niemile też były widziane przez publiczność. Wykonały je „Bez protekcyi“ 2-latka p. Ostoia-Ostaszewskiego i „Partenia“ p. Władysława Schindlera. Punktem kulminacyjnym dnia był zaraz drugi bieg po walkoverze o nagrodę prezydenta 4000 koron, o którą współubiegało się pięć koni. Wynik tego biegu na Derby-dystansie był poniekąd przewidziany, sytuacya wyjaśnioną przez nagrodę Wandy, w której Camelotte p. Ostoia-Ostaszewskiego pobiła łatwo „Octaviusa“ p. Zangena. Reszta koni już i z tego względu mniej miała zwolenników, że były starszemi od dwóch wymienionych 3-latków, choć z drugiej strony 5-let. Klekotka po Weathercock hr. Oskara Potockiego ma za sobą doskonałą formę — biegała w roku zeszłym niepobitą; Pauszówka por. Hagelina na Węgrzech biegała w tym roku doskonale, raz zwyciężyła, a zresztą przygotowano ją specyalnie do tego biegu, podobnie jak Klekotkę; zaś Wiadomość stanęła do walki po dwóch biegach przez płoty, z których drugi wygrała, a przytem niosła wielką nadwagę za wygranie w roku zeszłym nagrody 6000 koron i wiadomem było, że ją p. Ostoia-Ostaszewski posłał w bieg jako podszewkę Camelotce. Senzacyę wywołał fakt, że stajnia sędziszowska posadziła na swe konie chłopców stajennych.

Rezultat okazał jednak, że Szablewski już dziś jest doskonałym jeźdźcem. Mając przy starcie — który odbywa się przy mecie 2400 metrów przed samemi trybunami — najgorsze zewnętrzne miejsce, choć przytem był parę długości za innemi końmi w chwili, gdy starter chorągiewkę spuścił, tak szybko z miejsca na wskos poszedł, że złapał odrazu bandę, poprowadził bieg i nie dał sobie ani bandy, ani pierwszego miejsca przez całą drogę odebrać. Koło 1000-metrowego startu czwórka koni galopujących za Camelotte nagle przybliżyła się tak do niej, iż na chwilę znikła ona w zwartym plutonie — wkrótce jednak wypłynęła z niego i w cuglach łatwo dwoma długościami pierwsza do mety dobiła. Niespodzianką było drugie miejsce, zajęte przez „Octaviusa“ pod Amerykaninem Holmesem. Syn Or vert'a szedł tym razem bez okularów bardzo chętnie i z ostatniego miejsca na linii prostej wywalczył sobie drugą nagrodę. Trzecią była o jedną długość z tyłu „Pauszówka,“ zawdzięczając swe miejsce lekkiej wadze i dzielnemu jockeyowi Martinkovichowi. 4-letnia „Wiadomość,“ trochę zmęczona i zbyt obciążona wagą 63 kg. (niosła od Pauszówki 12 funtów więcej), mogła może pod mniej apatycznym jeźdźcem zdobyć sobie płatne miejsce. Dla „Klekotki,“ jechanej przez S. Bulforda, to jest chyba wytłumaczeniem, że jest już 5-letnią, a do wyjątków należą takie 5-latki, które swej formy, jaką jako 3 i 4-letnie okazały, nie pogarszają. Camelotte wygrała bieg, jak chciała. Szablewski nie miał ani kija, ani ostróg, siedział na klaczy po amerykańsku, a raczej „leżał“ na niej, opierając ręce na zczepionych lejcach, opartych na karku, z kolanami wysoko przy kłębie i piętami wstecz wysuniętemi.

Następny bieg o nagrodę Wawelu, handicap nie przedstawiał wielkiego interesu, bo wszyscy z góry wiedzieli, że konie pana Schindlera zajmą w nim pierwsze dwa miejsca, a ostatnim będzie Mydiceri p. bar. Orczy. Po drugim walkoverze o nagr. rządową 2000 kor., nastąpił bieg losowania. „Feneant“, syn Feneka, pobił łatwo „Escamilla“, syna Espoir'a. Los padł na nr. 752 i dotąd właściciel losu jeszcze się nie zgłosił. Pożegnalny bieg gładki, zwycięzcy 1500 kor., stał się łatwą zdobyczą dla Tubiczan p. Meichel'a; znakomitą córkę Orwell'a, jak i jockeja Suthey, specyalnie na ten pewny bieg z Wiednia przysłano do Krakowa. Drugie w tym biegu miejsce stracił Szablewski na galicyance „Mitrędze“ z powodu urwania się strzemienia, zajął je Holmes na 2-l. Gyemant córce Timothy. Ostatni bieg, końcowe Steeple chase Handicap, był znów bardzo interesujący. Tak Hastermann z wagą 70 kgr. pod por. Rausem, jak stary Gral 69 kgr. pod bar. Eltzem, jak i 5-l. Lidictrip z wagą 61 kgr. pod właścicielem por. Kollerem miały szanse wygranych. Wygrał ostatecznie por. Koller, wyzyskawszy swą lekką wagę. Bieg odbył się wzorowo, jechali sami bardzo rutynowani jeźdźcy ze spokojem i energią niezrównaną.

Zanim statystyczne zestawienie cyfrowe przedstawi rezultat pięciodniowego meetingu krakowskiego, zaznaczyć już możemy, że lwią część nagród zdobyła stajnia p. Wład. Schindlera, która w tym roku była w znakomitej formie i 9 końmi do walki stanęła. Drugie i trzecie miejsce zajmie por. Koller i stajnia p. Ostoia-Ostaszewskiego, ta ostatnia biegająca tylko galicyjskiemi prawie wyłącznie swego chowu końmi. Fatalnie poszło wielkiej stajni z Alag menagerowanej przez p. Moshaka, który przez szereg lat zbierał laury w Krakowie dla swych licznych klientów; przeciwnie stajnia weterynarza wojskowego p. Bartoscha zdołała wybić się na wierzch. Stajnie ze wschodniej Galicyi: duża hr. Oskara Potockiego, mała hr. Koziebrodzkiego odegrały całkiem podrzędną rolę.

W niedzielę, 26-go czerwca rozpocznie się 3-dniowy meeting galic. narod. Towarzystwa chowu koni. Po ostatnich wykreśleniach pozostało jeszcze dużo koni, tak, że te trzy dni wyścigów, które odbędą się w trzech dniach świąt, tj. w niedzielę 26-go czerwca, we środę 29-go czerwca i znów w niedzielę 3-go lipca, obiecują być bardzo interesujące, a pola dużo liczniejsze. Z 20-tu np. zgłoszonych do wielkiego Steeple koni, meta 5000 metrów, 3.200 koron, pozostało 16 koni, z których przypuszczalnie przynajmniej połowa weźmie udział w tym biegu. d. n.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Budapeszt 21 czerwca. Na wczorajszem posiedzeniu Sejmu węgierskiego dep. Olay podniósł sprawę burmistrza w Debreczynie, któremu prezydent ministrów hr. Tisza polecił odpowiedzieć po niemiecku na pismo austro-węgierskiego konsula w Gałaczu. Olay zaznaczył, iż publicznie wezwał tego burmistrza do nieusłuchania rozkazu. Hr. Tisza w odpowiedzi podniósł, że burmistrz miał wprawdzie prawo odpowiedzieć po węgiersku, jednakże językiem służbowym dyplomacyi jest język niemiecki (żywe protesty na lewicy. Pos. Kubik woła do lewicy: „Wstydźcie się!“). Ponieważ pos. Kubik pomimo kilkakrotnego wezwania okrzyk swój powtarzał, uchwalono wydać go komisyi dla nietykalności poselskiej z powodu renitencyi.

Uście (Aussig) 21 czerwca. W kilku gminach tutejszego powiatu uchwalono usunąć czeskie napisy z nagrobków na cmentarzach. Starostwo przeszkodziło wykonaniu tej uchwały jako nielegalnej.

Wiedeń 21 czerwca. Wczoraj wieczorem przybyła tu specyalna misya turecka i będzie dziś w południe na posłuchaniu u Cesarza, któremu naczelnik misyi, marszałek Szakir-basza wręczy order sułtański. — O godzinie 6-tej wieczorem odbędzie się obiad galowy w Schönbrunnie.

Sofia 21 czerwca. Ministerstwo zaprzecza urzędowo doniesieniu dzienników opozycyjnych, jakoby 40% nabojów karabinowych, dostarczonych Bułgaryi przez francuskie towarzystwo, było nie do użycia.

Paryż 21 czerwca. Komisya śledcza dla sprawy Kartuzów przesłuchiwała wczoraj byłego gubernatora Algieru Revoile, który oświadczył, że nie miał nic wspólnego z kampanią przeciw Edgarowi Combes. Przesłuchiwany następnie Lagrave uczynił zastrzeżenia co do kilku wywodów prezydenta ministrów i jego syna. W swoim czasie w piśmie do Edgara Combes podniósł Lagrave jako rzecz konieczną, by nie wymieniać nazwiska Chaberta. Lagrave twierdzi, że Edgar Combes nie był wcale oburzony, gdy z nim rozmawiał o Chabercie i Kartuzach. Oświadcza dalej, że prezydent ministrów podczas jego przesłuchania wszedł do pokoju sędziego śledczego i nakłonił go do zmiany kilku słów w zeznaniach. Prezes gabinetu nie podyktował Lagrave'owi wprost zeznań przed sędzią śledczym, lecz jako ojciec wyraził życzenie, aby Lagrave bronił syna przed oszczerstwami, których ten padł ofiarą. Lagrave zażądał skonfrontowania z Edgarem Combes. Komisya uchwaliła przesłuchać sędziego śledczego, a następnie równocześnie Edgara Combes i Lagrave'a.

Londyn 21 czerwca. W Izbie gmin oświadczył sekretarz stanu dla Indyj Brodrick, że rząd angielski wyznaczył dzień 25 b. m. jako termin wyruszenia wojsk do Lhassy, jeżeli Tybetańczycy nie wyszlą do tego czasu swoich pełnomocników do prowadzenia rokowań. Rosya jest poinformowana o politycznych zamiarach Anglii. Co się tyczy ogłoszenia wymiany not, uważa je Brodrick w obecnej chwili za niestosowne.

Cetynia 21 września. Specyalny wysłannik króla serbskiego Nenadowicz wręczył księciu Nykicie order gwiazdy Kara-Dżordża, przyczem wygłosił przemowę, w której określił przyjaźń i braterstwo obu narodów.

Madryt 21 czerwca. Wczoraj król Alfons podpisał konwencyę między Hiszpanią a Watykanem regulującą kilka spornych kwestyi konkordatu. Druga konwencya dotycząca spraw skarbowych i ekonomicznych zostanie podpisana w Watykanie.

Sztokholm 21 czerwca. *Afton Bladet* podaje odpis listu do cara Mikołaja, znalezionego przy Eugeniuszu Schaumanie, zabójcy Bobrikowa. Schauman w niezwykle gorących słowach zapewnia o swych wiernopoddańczych uczuciach dla monarchy i podnosi, że urzędnikom rosyjskim, a zwłaszcza ministrowi Plehwemu i generał-gubernatorowi Bobrikowowi udało się wprowadzić w błąd cara i dokonać zmian, sprzecznych nietylko z ustawami konstytucyjnemi Finlandyi, ale także z uroczystemi przyrzeczeniami cara. Najwybitniejszych i najzasłużeńszych urzędników wydala się bez śledztwa, a obsadza ich posady Rosyanami, ludźmi bez kwalifikacyj i uczciwości, indywiduami znikczemniałemi. Najzacniejszych obywateli aresztuje się masami i wydala z ojczyzny. Słowem — wolność nie istnieje. — Ponieważ nie ma nadziei, aby stosunki zmieniły się na lepsze, uważa Schauman za swój obowiązek uciec się do ostatecznego środka, aby Bobrikowa uczynić nieszkodliwym. Środek to gwałtowny, ale jedynie możliwy. Schauman poświęca też swoje życie, aby przyczynić się do przekonania cara, że okłamują go ci, którzy go informują o stosunkach w Finlandyi, Polsce i prowincyach bałtyckich, o stosunkach strasznych. W końcu zapewnia Schauman, że działa na własną rękę i że żadnego spisku nie było.

Petersburg 21 czerwca. Rosyjska Agencya telegraficzna na podstawie urzędowego upoważnienia zaprzecza doniesieniom o zaburzeniach w Finlandyi.

Belgrad 21 czerwca. Sąd I instancyi skazał byłego ministra Todorowicza za sprzeniewierzenie na 18 miesięcy więzienia od dnia wyroku i zwrot 39.822 denarów wraz z 12% od 24 stycznia 1904. Po ogłoszeniu wyroku rzekł Todorowicz: „Dziękuję za to, że świat cały przekona się, iż zostałem zasądzony wbrew ustawom. Żałuję, że w mej obronie oszczędzałem Zivkovicza, lecz sądziłem, iż on okaże się człowiekiem prawym. Żałuję w końcu, iż wierzyłem, że sąd będzie działał sprawiedliwie.“ Prezydent sądu odpowiedział na to: „Sąd jest sądem.“

(Depesze popołudniowe).

Petersburg 21 czerwca. Ponieważ manewra się skończyły i nastąpił awans oficerów, carstwo wyjechali wczoraj z Carskiego Sioła na letni pobyt do Peterhofu.

Wojna.

Petersburg 21 czerwca. Generał Żyliński telegrafuje do ministerstwa wojny 20 czerwca:

Według sprawozdań z Portu Artura, datowanych 14 b. m. trzy japońskie bataliony rozpoczęły marsz przez góry Siaubintau ku Lunnatan. Dwa oddziały strzelców i oddział straży granicznej wstrzymały marsz Japończyków. Nieprzyjacielskie torpedowce ostrzeliwały naszą stacyę semaforów. Skoro jednak „Nowik“ w towarzystwie torpedowców zbliżył się i otworzył ogień, okręty nieprzyjacielskie oddaliły się. Dnia 13 czerwca nasi strzelcy wypędzili Japończyków z ich stanowisk na wschód od wspomnianych wyżej gór. Porucznik Bikejew i 1 żołnierz zabici; 4 strzelcy oraz porucznik Żłobiński ranni. Ten ostatni umarł z ran.

Petersburg 21 czerwca. Kuropatkin telegrafował 19 b. m. do cara: Nieprzyjaciel, który znajdował się na linii Sajmatsi-Fenwanczeng, nietylko zaprzestał dalszego marszu, lecz nawet cofnął się z kilku punktów na północy, które niedawno był obsadził. Japończycy zaprzestali także marszu ku wąwozowi Dalin, wielkie siły japońskie zostały jednak wysłane w kierunku Siujan i Kaiczu lub Sujan-Dasziczao.

Londyn 21 czerwca. Do *Daily Telegraph* donoszą z Tokio: Marszałek Oyama zamianowany został wicekrólem i naczelnym wodzem wszystkich wojsk japońskich w Mandżuryi. Generał baron Kodama mianowany szefem sztabu generalnego Oyamy. Obaj dowódzcy udadzą się wkrótce na pole wojny do Mandżuryi. Jamagata pozostał jako szef sztabu generalnego w Tokio.

Petersburg 21 czerwca. Kuropatkin telegrafował do cara: Stackelberg donosi, że nieprzyjaciel nie ruszył się z Wafankou. Podług wiadomości patroli, japońskie wojska rozwijają się wzdłuż linii Wafankou-Fuczu. Po dwudniowej walce i dwóch męczących marszach przez teren górski nasze wojsko wypoczęło. Duch w wojsku wyborny. Nie można jeszcze podać dokładnych dat o naszych stratach pod Wafankou. W innych oddziałach naszej armii straty są następujące:

Z pułków I-szej wschodnio-syberyjskiej brygady strzelców 15 oficerów zabitych, 49 rannych; na polu bitwy zostało nadto zabitych lub rannych 12 oficerów. Dalej 386 żołnierzy zabitych i 992 rannych. Prócz tego 568 żołnierzy bądź to zabitych, bądź rannych zostało na polu walki. Z 3-go, 33-go, 35-go, 36-go pułku 1 oficer i 20 żołnierzy zabitych, 19 oficerów i 604 żołnierzy rannych. Na polu bitwy zostało 96 żołnierzy zabitych lub rannych.

W I-szej brygadzie artyleryi poległo 10 oficerów i 103 żołnierzy, w IX-tej — 1 oficer i 25 żołnierzy. Z pułku sobolskiego 1 oficer, 2 żołnierzy zabitych, 1 oficer 40 żołnierzy rannych, 3 żołnierzy brak. Z pułku morszańskiego 6 oficerów rannych, 1 żołnierz zabity, 131 żołnierzy rannych, 8 żołnierzy brak.

HOTEL GEORGE'A.

Pokoje ze światłem i obsługą od 3 K. począwszy.

Przyjechali dnia 21 czerwca. A. Gorayski z Moderówki. M. Parkinson z Ropienki. M. Giusel z Felsztyna. J. Łyssy z Trzebinii. A. Ascher i S. Wollner z Wiednia. R. Szydłowski z Maryampola. G. Mac-Garvey i W. Długosz z Borysławia. T. Krzysztofowicz z Kałapczyjowa. O. Wiktorowa z Czudca. X. E. Wanio z Załanowa. J. Lumpp z Chyrowa. F. Nennel z Krakowa. R. Schuberth z Gorlic. X. J. Lewkowicz z Rychcic. M. Macher z Jasła. G. Kaufmann z Słotwiny. S. Kilarski z Poznania. N. Markowitz z Jaworowa.

HOTEL EUROPEJSKI.

Lwów — Plac Maryacki.
ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 21 czerwca. W. Zygmuntowski z Kijowa. R. Breitenwald z Zagórza. J. Zerygiewicz z Żukocima. A. Stuchlik z Temeszwaru. W. Pieniążek z Lipinki. S. Bodnar z Czortkowa. Z. Parvi z Krakowa. S. Słonecki z Zadarowa. Dr. Iskrzycki z Sanoka. Z. Lewakowski z Drohobycza.

HOTEL FRANCUSKI

Przyjechali dnia 21 czerwca. A. Wolniewicz z Olszy. M. Hutter ze Strusowa. J. Strec ze Schodnicy. A. Serafiński i J. Greguss z Krakowa. N. Wysocki z Jarosławia. M. Hopcasowa z Krakowa. A. Tretterowie z Laszek król. Z. Jasińscy z Bóbrki. N. Łodyńska z Derewlan. A. Lekczyńska z Remenowa. L. Wortmann, E. Mayer, J. Byk z Wiednia. A. Jędrzewiczowa z Sawczyna. S. Smolka z Janowa. M. Wołoszyński z Daniszowa. A. Sobotowie z Podhorek. W. Klimesch i K. Jaworski z Doliny. H. Kochanowicz ze Stryja. H. Czaykowscy z Białego Dworu. S. Bidermann z Turki.

Wiedeń 21 czerwca. (Giełda towarowa). Cukier 21·40. Spirytus 47·00—47·40 (silnie). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 21 czerwca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·25. Spirytus 00·00.

Paryż 21 czerwca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·72. — Mąka („Fleur de Paris“) 27·45.

Frankfurt 21 czerwca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 201·10. Koleje państwowe 000.00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 186·90. Laura 000·00.

Budapeszt 21 czerwca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 9·05—9·06; żyto na październik 6·78—6·79; owies na październik 6·10—6·11; kukurudza na lipiec 5·22—5·24, na sierpień 5·34—5·35. Rzepak na sierpień 11·45—11·55. — Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: ograniczona. Usposobienie: silne. Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 21 czerwca.

Marki 117.38, renta majowa 99.15, węgierska renta koronowa 97·15, akcye: austr. zakł. kredyt. 641.50, węg. zakł. kred. 743·00, anglobanku 279.00, unionbanku 517.00, bankvereinu 510·00, länderbanku 425·50, kolei państw. 634.50, lombardy 80·25, akcye kolei Elbethal 424.00, fabryki broni 478·00, tytoniowe 00.00, alpiny 412.50, Rima Muranyi 490·00, prag. Tow. żel. 2058·00, losy tureckie 128.00, ruble 253·50. Usposobienie: silne.

Lwów 21 czerwca. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 578.— do 588.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 545·00 do 555.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 870·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 101·50 do 102·20, 4 proc. los w 60 lat 98·80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.50 do 102.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·10 do 99.80 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·30 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·80 do 99·50.

Monety. Dukat cesarski 11.26—11.40. Napoleondor 19.00 do 19.25. Sto rubli papierowych 252.00—254.00 Sto marek 117·20 do 117·70.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1904 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 6.00, 8.55, 5.40, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.20.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.40, 5.30 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.20, 5.06, 10·02*.
Z Tarnopola: 9.25* (na dw. gł.) 8.04* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20*, 1.40**, 6.10, 5.50, 9·10*.
Z Kołomyi i Stanisławowa: 8.10, 11.25.
Ze Stryja: 7.45, 10.02, 1.10, 4.35, 10.40*
Z Rawy i Sokala: 6.46, 5.08
Z Jaworowa: 8.20, 4.45.
Z Sambora: 8·00, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 3.25, 2.55**, 4.10*, 8.35, 6.20*, 10.55
Do Rzeszowa: 8.30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.55**, 6.30, 9*— 11.—*; z Podzamcza: **2.09**, 6.48, 9.21*, 11.24
Do Tarnopola: 10.35 z dw. głównego, 10.52 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51*, 2.45**, 6.20 10.45, 10·42*.
Do Stryja: 6.45, 9.10, 3.05, 6.40*, 11.05*
Do Rawy i Sokala: 10·50, 7.05*, 11.10+ (każdej niedzieli).
Do Jaworowa: 6.50, 5.48.
Do Sambora: 9·25, 3·40.
Do Kołomyi i Zydaczowa: 5.55.
Do Przemyśla, Chyrowa, Zagórza: 10.05*.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: 6.42, 7.30, 11.45, 3.00, 4.30, 5.08, 7·54*, 8.59*.
Z Janowa: 8.20, 1.16, 4.45, 9.25*, 10.10* (od 15|5 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 9.35* (od 1|6 do 11|9 w niedziele i święta).
Z Lubienia W.: 11.35* (od 15|5 do 11|9 w niedz. i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: 5.48*, 9.30, 10.50, 1.05, 3.35, 5.05; 7.05* 8.14* 11.10* (każdej niedzieli).
Do Janowa: 6.50, 9.15, 1.35 (od 15|5 do 31|8 w niedzielę i święta), 3.18, 5.48.
Do Szczerca 1.45 (od 1|6 do 11|9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 15|5 do 11|9 w niedz. i święta).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

82)

Dama pikowa.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

— Czy nie pójdziesz ze mną?

— Nie, ja nie mogę odstąpić kociołka.

— Powiedz-że mi przynajmniej, gdzie znajdę p. Atkinsa?

— W pokoju na prawo, nad schodami. Wejdź pan bez stukania. Drzwi otwarte.

P. Lecoq pośpieszył na górę. Schody były miejscami powyrywane, brakło poręczy.

Trzeba było nielada zręczności i dobrych nóg, żeby się nie pośliznąć.

Tynk opadał z sufitu, a tapety ze ścian, tworząc co krok przeszkody, które trzeba było przesadzać. P. Lecoq wszystkiemu temu podołał i doszedł szczęśliwie na pierwsze piętro.

Popchnął drzwi na prawo. Pośrodku pokoju, na bujającym fotelu, przed kominkiem siedział mężczyzna olbrzymiego wzrostu i przerażającej tuszy. Włosy konopiaste spadały mu w kosmykach na oczy, błędne, przygasłe, podobne do oczu ryby ugotowanej. Dolna warga spadała na potrójny podbródek, ukazując zęby białe i śpiczaste.

Ten hipopotam ubrany był w spodnie płócienne i czerwoną koszulkę wełnianą. W ręce trzymał pełną szklankę i podnosił ją do ust w chwili, gdy Lecoq stanął na progu.

Skoro go ujrzał, mruknął przeraźliwie, a potem zaklął po angielsku:

— *Damn your eyes! Go in the hell rascal!* *)

Lecoq wiedział, co to znaczy, lecz udał że nie rozumie. I wypowiedział po francusku małą oracyę, którą był sobie z góry ułożył.

— Szanowny panie — zaczął — czy pozwoli pan wina, prawdziwego Porto, wyrabianego umyślnie dla Anglii? Po dwadzieścia szylingów sześć pensów za galon! Płatne za trzy lata!

Słysząc te ostatnie słowa, olbrzym postawił szklankę na stole i spojrzał ze wściekłością na człowieka, który mu robił tak korzystną propozycyę.

— Coś ty za jeden? — mruknął, tocząc groźnym wzrokiem. — Pewnie łotr, jak wszyscy komiwojażerowie. Chcesz mnie oszukać. Ale mnie nikt nie oszuka. To ja oszukuję innych.

— Pan lubi żarty, panie Atkins. Śmiejmy się; i ja nie od tego — rzekł ojciec Ludwika.

— Ja nie żartuję. Powiadam ci, że ofiarowujesz mi kredyt na przynętę, a potem będziesz mnie nudził i pozywał o zapłatę.

— Ja miałbym pana pozywać! Oszalałbym chyba! Kto pozywa tak bogatego gentlemana?

— Skąd wiesz, że jestem bogaty? Zapewne powiedział ci to twój kolega, ten, który tu był wczoraj i wkręcił mi stęchłe pasztety. Otóż powiedz mu odemnie, że nie zobaczy moich pieniędzy za swój towar.

— Dobrze pan zrobisz: nie należy płacić za towar lichy. Ale moje Porto wyborne, a jak się go pan napijesz, to ręczę, że pieniądze dostanę. Prawdziwe Porto firmy Rawson, Jenkins and Comp. Ile pan chce beczułek? Napiszę zaraz dzisiaj do Liverpulu.

— Do Liverpulu? Więc jesteś Anglikiem? Idż do dyabła! Nienawidzę Anglików. Chciałbym, żeby Liverpul zapadł w ziemię. Tam wygwizdano moją matkę.

Ostatnie słowa uderzyły p. Lecoqa. Nie dbał o wymyślania pijaka. Zamiast się wynosić, usiadł i rzekł najspokojniej:

— Powiadasz pan, że wygwizdano pańską matkę w Liverpulu. W takim razie pańska matka byłaby aktorką. Ale wiem, że to żart. Nigdy nie uwierzę, że pan nie jest gentlemanem.

— Milcz — wrzasnął pijak, uderzając w stół pięścią — nie mówiłem ani o wygwizdaniu... ani o mojej matce... Zabraniam ci wspominać o tem.

Chwycił szklankę i wychylił ją do dna.

— Mniejsza o to. Wolę mówić o swoich sprawach, niż o pańskich — odparł komiwojażer. — Mówiliśmy więc, że pan nie cierpi Anglików. Cieszy mnie to, bo ja jestem Francuzem z dziada pradziada.

— Więc czemuż służysz u tych łotrów z Liverpulu?

— Bo mi dobrze płacą i sprzedają przednie Porto. Lubię dogadzać swojej klienteli.

— Jak się nazywasz?—spytał pijak obcesowo.

— Arystydes Chalumet. Żaden syn Albionu nie zwał się nigdy Arystydesem Chalumet.

— Więc nie jesteś Tambournac'em?

— Nie. Tambournac jeździ z pasztetami.

— Błazen. Nie pija „ginu". A ty, czy pijasz „gin"?

— I owszem, ale grog więcej mi smakuje.

— Ręczę, że nie wiesz nawet, co to grog. Załóżmy się, że myślisz, że wlewa się w niego wodę z cukrem.

— Cóż znowu! Grog z wody, to dobre dla dziewic. Czysty rum z cytryną, rzecz inna

— Trzy kwaterki rumu, trzy „ginu", trzy szczypty pieprzu i muszkatułowa gałka. Potem gotuje się to wszystko.

— Wiem. Pański groom mi pokazał.

Czy chcesz skosztować?

— Ależ z rozkoszą. Groom idzie właśnie na górę.

W istocie drzwi otrzworzyły się i wszedł rudy służący niosiąc ogromną wazę, napełnioną po brzegi napojem piekielnym.

— Mój chłopcze — rzekł Arystydes Chalumet — interes skończony. — P. Atkins zamówił u mnie dziesięć beczułek mojego najlepszego Porto. Nie cofam obietnicy. Dostaniesz dwie darmo.

— Wypiją się — mruknął lakonicznie rudowłosy.

— Chalumet, jesteś bardzo hojny — wtrącił Atkins podejrzliwie. — Kto cię tu przysłał? Pewno ten gałgan Harry.

— Harry? — Nie znam żadnego Harry. — Co to za jeden?

— Gałgan, mówiłem ci, że gałgan, ale to nie twoja rzecz.

— O! Nikt mnie tu nie przysłał. Sam przyszedłem, bo mi mówiono o panu w Savigny.

— Dobrześ zrobił. Podobasz mi się, choć jesteś suchy, jak śledź wędzony. Kiedyż dostanę moje dziesięć beczułek?

— Za dwa tygodnie najwyżej. Wystawię na pana weksel, płatny za trzy lata. Ale po trzech latach pan zapłaci?

— Niech Harry płaci. Wystaw weksel na niego. A jak ci nie zapłaci, to go zastrzel. Przysłużysz się światu.

— Nie znam żadnego Harry — powtórzył fałszywy komiwojażer.

— Prawda — mruknął pijak. — No to wystawię weksel na siebie. Za trzy lata będę bogaty... a nawet przed trzema laty... Harry powiada, że za dwa tygodnie będę miał miliony.

Serce zabiło żywiej w p. Lecoq. Jerzy Atkins powiedział, że będzie bogaczem i to dzięki jakiemuś Harry. Poprzednio mówił, że wygwizdano jego matkę w Liwerpolu.

Słowa te miały doniosłe znaczenie dla ojca Ludwika: wiedział on, że Harry to po angielsku Henryk, że Tolbiac ma takie imię, dalej, że Helena Fassitt, młodsza siostra majora Sullivana, wyszła za mąż w Anglii za wędrownego aktora. Jej siostrzenica Zofia Nesley, wstąpiła może także na scenę.

Co prawda, przypuszczenia były jeszcze nie udowodnione, ale rzekomy komiwojażer miał nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej.

Rudowłosy orangutang postawił na stole dymiącą wazę. Wyjął ze spróchniałego bufetu olbrzymią szklanicę i postawił ją przed Arystydesem Chalumet. Złożywszy mu taki dowód swej wdzięczności odszedł w milczeniu.

— Czy umiesz pić? — zapytał pijak, patrząc na ojca Lecoq.

— Nie gorzej od pana — odparł tenże rezolutnie.

— To się pokaże. Musimy we dwu wypróżnić wazę. Jeżeli ustaniesz wpół drogi, to nie kupię twojego Porto i każę cię za drzwi wyrzucić.

— Ustanę dopiero, gdy nie będzie ani kropli w wazie.

— Wtedy ja każę przynieść dla siebie drugą wazę, a ty możesz położyć się pod stół, albo na stół, jak będziesz wolał.

— Kładę się tylko do łóżka. A teraz za pańskie miliony.

— Moje miliony! moje miliony! — powtarzał Anglik, po kilku łykach ognistego napoju. — Nie mam tych milionów i nigdy ich nie będę miał.

— Jeżeli czeka pana spadek?

— Kto ci mówił, że mam dostać spadek?

— Pan — rzekł niestropiony Lecoq.

— Kłamiesz! Nie spodziewam się spadku, a gdybym się spodziewał, tobym o tem nie mówił nikomu. Nie wolno mi.

Lecoq zagryzł usta. Miarkował, że się zbytnio zapędził. Atkins nie był jeszcze tak pijanym, aby się serce otwierało do wyznań.

Tymczasem ojciec Ludwika myślał, jakby nieznacznie wlewać pod stół zawartość szklanicy, bo nie chciał się upić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Przeklęte twoje oczy! Idź do piekła łotrze!

Redaktor odpowiedzialny Wacław Masłowski.

Papier z fabryki Czerlańskiej.

Z drukarni E. Winiarza.